Nr. 32 • 6 • VIII • 1932

ISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE



ŚWIAT



Co otrzymuje prenumerator „ŚWIATA" za 5 zł. miesięcznie?

1) Co tydzień zeszyt „Świata" zawierający zawsze ciekawą i aktualną treść oraz obfite ilustracje;

2) Co tydzień kupon zniżkowy (50%) do b. teatrów miejskich w Warszawie;

3) Raz na miesiąc duży tom interesującej powieści.

Prenumerata miesięczna z odnoszeniem do domu: zł. 5.50, na prowincji zł. 6.—.

Cena pojedyńczego numeru wynosi w całej Polsce zł. 1.—.

„ŚWIAT" rozchodzi się na całą Polskę: od Bałtyku po Karpaty i od Wileńszczyzny po Śląsk.

A więc ogłoszenie w „Świecie" dociera do wszystkich





ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 6-go SIERPNIA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 32 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Zaślubiny serc polskich z morzem

Złote, lipcowe słońce zdjęło z twarzy mleczny woal chmury i wznosi się nad szmaragdowym dywanem łąk, stapiając opalowe kadzidła mgieł. Pachnie rankiem, zielenią i rosą. Pospieszny pociąg, rozdymając rytmicznie stalowe płuca tłoków, wypadł z Gdańska i połyka lśniące wstęgi szyn. Dudnią i jęczą koła. Jak piłka, wąż wagonów przeskakuje skrzyżowania i zwrotnice. Czasem lokomotywa bluzgnie kłębem dymu.

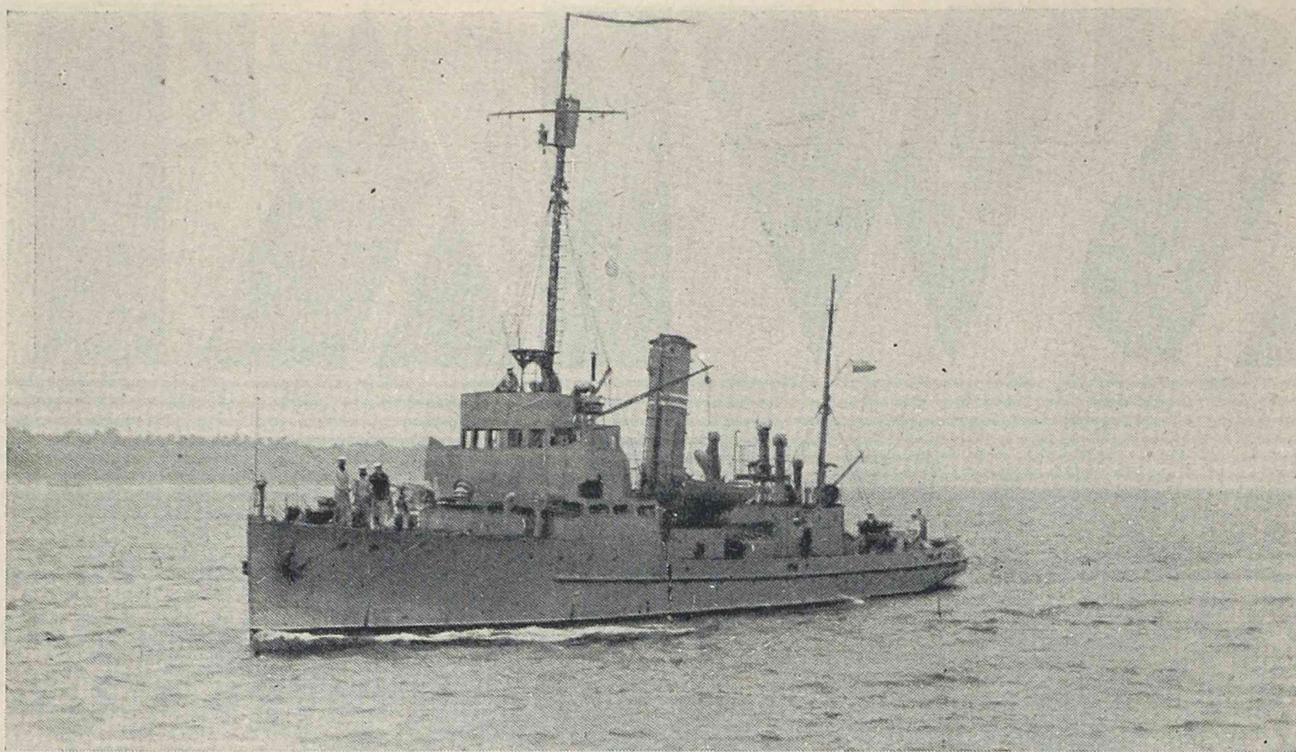
Nad lotniskiem gdańskiem potworne, lśniące, jak żywe srebro, cygaro Zeppelina. Zda się bezszelęstnie, ciężko, a zarazem lekko, płynie tuż ponad ziemią, niemal dotykając dachów wagonów.

Nie jest to bynajmniej lot przypadkowy. Pociąg za pociągiem wiezie nieprzeliczone wprost tłumy do Gdyni, na wielką manifestację narodową, na „Święto morza". Równocześnie w Gdańsku kończy się kontrmanifestacja: „Luftwoche" — tydzień powietrza.

Przez kępy drzew szarzeje zlewająca się z horyzontem łuska morza. Jeszcze kilka rytmicznych uderzeń kół, potężne sapnięcie lokomotyw i zatrzymujemy się na dworcu gdyńskim, przystrojonym w wieńce i kwiaty, niczem panna młoda w dzień zaślubin. W ciżbę ludzką wdzierają się skoczne dźwięki orkiestr. Grają fałszywie, lecz wesoło, z przekonaniem. Przed dworcem ogarnia lekkie oszołomienie. Gdzie się ruszyć, w którą stronę pójść? Spokojna zazwyczaj Gdynia zalana jest formalnie tłumem. Ma się wrażenie, że jakieś morze wystąpiło z brzegów i na jasne, czyste ulice rzuciło niespokojną, rozdygotaną falę.

Opaski, kokardki, sztandary, transparenty. Przechodzą drobne oddziałki, mundury, stroje góralskie, śląskie, kaszubskie. Jedna orkiestra tnie skocznego marsza, inna wygrywa patrjotyczną pieśń. Ruch, życie, gwar. A z czeluści dworca wysypują się coraz nowe tłumy, z pakuneczkami, pakiecikami, sakwojażami, rozglądają się ciekawie i rozpraszają we wszystkie strony. Główne ulice śmieją się żywemi kolorami narodowych barw, zielenią festonów i girland, słońce przygrzewa coraz silniej. Ludzie zdążają ku morzu, ku nabrzeżu Wilsonowskiemu i Basenowi Prezydenta. Stoki Kamiennej Góry upstrzone grupkami ciekawych gdyż stąd roztacza się wspaniały widok na cały port. Czystem i jasnem powietrzem wciąż płyną dźwięki orkiestr. W basenie, w zwartym czworoboku, ustawiała się i znieruchomiała na wyjątkowo spokojnem lustrze morza nasza flota wojenna. Łodzie podwodne: „Ryś", „Wilk", „Żbik", trzymasztowiec „Iskra", krążownik „Wicher", torpedowce: „Haller", „Mazur", „Ślązak", „Podhalanin", „Krakus" z rozwiniętemi flagami, oczekują „Mewy", na której pokładzie przybędzie najwyższy dostojnik Państwa. Warkot motorów i gromkie okrzyki z piersi załóg zlewają się w jeden ryk. Już przybył, już Go witają...

A potem godzina skupienia. W jaskrawem słońcu pręży się czworobok marynarzy, oddziałów wojskowych, delegacji. Na polowym ołtarzu odbywa się tajemnica



JEDEN Z TORPEDOWCÓW POLSKICH NA WODACH GDYNI

przemiany wina w krew. Cichy, monotonny szum morza... i jeszcze cichsze, z głębi serc płynące słowa modlitwy...

Mocne mowy jeszcze raz stwierdzają znaczenie morza dla Polski. Zamyka je słowo Prezydenta Rzeczypospolitej. Jest ono proste, serdeczne i przekonywujące.

Z tysięcy ust wzbija się w niebo, potężniejąca z każdym taktem pieśń ślubowania:

Nie damy ziemi, skąd nasz ród...

Srebrzyste, metaliczne dźwięki trąbek, skoczne takty marsza, krótki, sprężysty krok. Ulicą 10-go lutego maszerują oddziały wojskowe, przysposobień młodzieży. Dzwonią o bruk kopyta rączych koni ułańskich, z głośnym szczękiem podskakują karabiny maszynowe. Długo, długo maszerują ci, którzy do ostatniej krwi morza bronić gotowi.

Oficjalne uroczystości skończone. Tłumy wypełniają wszystkie ulice i place. Aż podziw bierze, gdzie się to wszystko mieści. Zjechało przecież luda z całej Polski coś około 100.000. I rzecz charakterystyczna. Przeważają maluczcy: młodzież szkolna, robotnicy, rzemieślnicy, drobnomieszczanie. Słychać wszystkie narzecza i djalekty: Śpiewną mowę Wileńszczyzny i Żmudzi, twardą gwarę pomorską, lwowskie tajojkanie, nierytmiczny akcent śląski, nadwiślański żargon Warszawy.

Godzina posiłku. Tłumy oblegają restauracje, liczne jadłodajnie, herbaciarnie i piwiarnie pod gołem niebem. Gdynia zaaprowidowana wspaniale. Jedzenia poddostatkiem i tanio. Największem powodzeniem cieszą się parówki, kiełbasa, „ilustrowane" chlebki (chleb z wędliną lub serem, poprostu „kanapka"). Wody sodowej i piwa nastarczyć nie można. Tu i owdzie, pod murem rozsiada się cała rodzina i z apetytem pochłania prowianty przywiezione z sobą. Oficjalnie wódki sprzedawać nie wolno, lecz niejeden pociąga z własnej butelczyny. Humory coraz lepsze.

Wesoło grają orkiestry, masa ludzka przelewa się gwarną falą. Szybko zawierają się znajomości i flirty. Koło dwóch przystojnych kaszubek kręci się dziarski młodzian. Najwidoczniej zamierza je olśnić:

— Lody mają zaś panie życzenie jeść?...

Dziewczęta chichocą filuternie.

— Mamy życzenie. Nieprawdaż...

— A potem pójdziemy na tańce!.. chce się upewnić fundator.

Kramy, loteryjki, stragany z „pamiątkami". Te coprawda pozostawiają wiele do życzenia i odznaczają się wybitnym brakiem gustu. Muszelki z mórz południowych, łowickie wełniaki, zakopiańskie pantofelki, chustki z perkalu z ohydnie nadrukowanym widoczkiem Gdyni. Takie są pamiątki ze „Święta morza". A przecież możnaby naprawdę zrobić coś oryginalnego i ładnego.

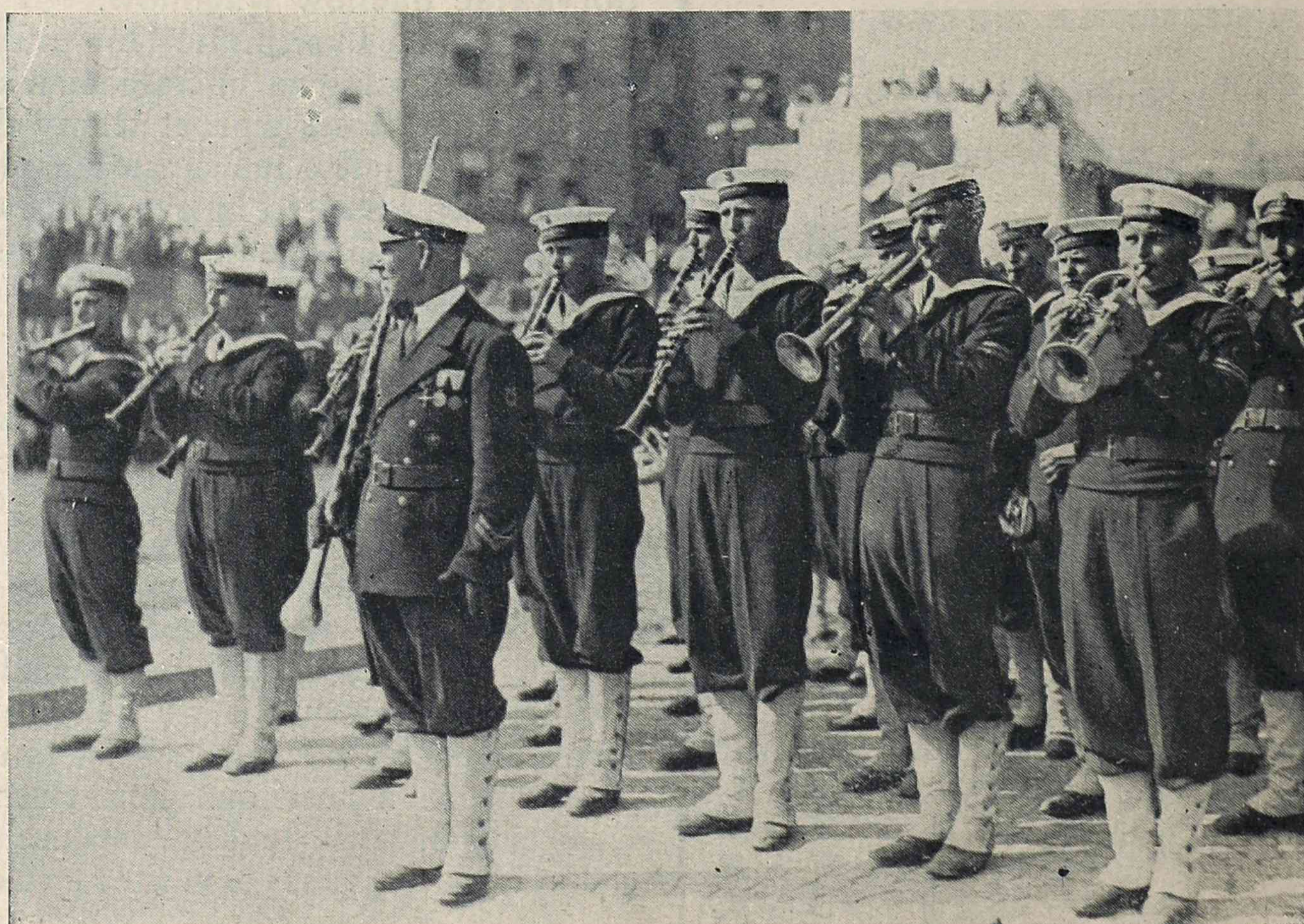
Na plaży kotłowisko. Głowa koło głowy. Mimowoli nasuwa się pytanie, gdzie się woda podziała. Na morzu łupiny żaglówek, skaczące jak pchły motorówki, łódki. Setki ciekawych zwiedza okręty wojenne. Głośne śmiechy i brawa dolatują z miejsc, w których rozsiadły się lotne sceny. Prosty, niewymuszony dowcip powoduje wybuchy radości. Wesoło, szumnie, gwarno. Gdynia zamieniła się w wielką zabawę ludową, w jeden kiermasz.

Powoli zapada zmierzch. Jedne po drugich zapalają się światła. Pokłady statków lśnią dziesiątkami iskier. Orkiestry wygrywają smętne tanga i sentymentalne walce.

A spokojne dotąd morze zrzuciło szary pancerz i skrzy się seledynowo-modrą łuską. Szumi tajemnicze, niezmienne, odwieczne. Rozbija o piaszczyste brzegi białe skrzydła pian i śpiewa swoją nieśmiertelną pieśń. Widziało już wiele, wysłuchiwało okrzyków bojowych i przysięg. Wiele jeszcze zobaczy i usłyszy. Wieczne, tajemnicze, nieodgadnione.

— Jedyne polskie Morze — nasz Bałtyk.

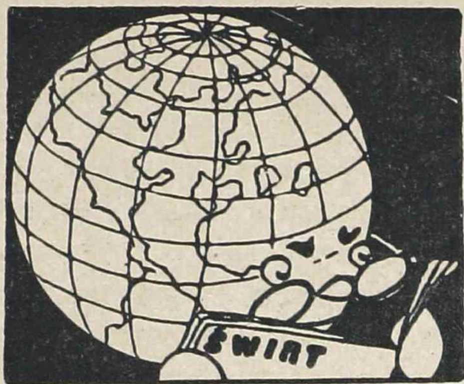
Jan Sokolicz-Wroczyński



ORKIESTRA MARYNARZY W DNIU ŚWIĘTA MORZA Fot. Jan Ryś

UROCZYSTA MSZA NA MOLU WILSONOWSKIEM W OBECNOŚCI P. PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

FRAGMENT DEFILADY WOJSKA I ORGANIZACJI SPOŁECZNYCN NA UL 10-GO LUTEGO Fot. Jan Ryś



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.) Jest rzeczą wysoce zabawną czytanie powyborczej niemieckiej prasy partyjnej. Widać z niej, jak na dłoni, że wszyscy odnieśli zwycięstwo; pobitych niema wcale. Hitlerowcy tryumfują, bo w ciągu dwóch lat głosy ich wzrosły z 6,3 miljonów do 13,7 milj., a ilość mandatów ze 107 do 230. Na przeciwległym krańcu komuniści także się cieszą, bo powiększyli liczbę zwolenników o 700 tys. i zamiast 77 zdobyli 89 miejsc w parlamencie. Socjaliści są również zadowoleni, bo w ciężkich perypetjach niemal utrzymali swój stan posiadania, tracąc ze 143 mandatów tylko 10. Jeszcze większy powód do radości ma Centrum Katolickie wespół z Bawarską Partją Ludową, gdyż rozporządzać będą w Reichstagu 97 głosami, gdy dotychczas mieli 87; nawet niemiecko-narodowi Hugenberga, najwięcej zagrożeni przez konkurencję socjal-nacjonalistów, utrzymali 36 miejsc z 41. Koszty wyborów zapłaciły właściwie mniejsze partje, umiarkowane i środkowe, które miały łącznie 129 mandatów, a teraz zdobyły zaledwie 27, po 2 — 4 na partję. Klijentela ich przeszła do Hitlera.

Ale jeśli porównać wyniki wyborów z nadziejami, pokładanemi w nich przez poszczególne stronnictwa, to okaże się, że przyniosły one wszystkim zawód. Hitler nie otrzymał większości; nie może się też poszczycić nowym przyrostem głosów od kwietniowych wyborów prezydenta Rzeszy i Sejmu pruskiego; doszedł już do szczytu i stanął na miejscu; nawet wespół z Hugenbergiem, nawet po doliczeniu drobnych grup nie może rządzić państwem.

Daleko też do większości koalicji wejmarskiej, rozporządzającej zaledwie 230—250 głosami. Dopiero po doliczeniu komunistów miałaby większość, ale większość czysto negacyjną, mogącą obalić rząd, niezdolną do jego utworzenia. Większość ta, jeśli nie przejmie się oportunizmem, może narobić sporo przykrości von Papenowi — za to, że zajął miejsce Brüninga, że usunął gabinet pruski Brauna, że popiera hitleryzm przeciwko republikanom, — ale wobec niemożności wyłonienia własnego rządu będzie ona skazana na współżycie z rządem pozaparlamentarnym, obcym i wrogim jej.

Kanclerz Papen, wspierany przez marszałka Hindenburga, będzie wygrywał w dalszym ciągu hitlerowców przeciw wejmarczykom, będzie unikał parlamentu i legitymował się swoją bezpartyjnością. Nastanie w Niemczech nowa era walki kanclerza z parlamentem. Walkę taką wygrał Bismarck na polu budżetu wojskowego i zbrojeń. Von Papen bezwątpienia te same hasła puści na swoje koła młyńskie.

. . . .

(Old) Nikt tak trafnie nie scharakteryzował znaczenia świeżo zawartego polsko-rosyjskiego paktu o nieagresji, jak sam jego twórca, minister Patek.

Porównał on stosunki sąsiedzkie między Polską a Sowietami do zsychającej się beczki, która co rok potrzebuje nowej obręczy. Pierwsza obręcz — to traktat ryski, druga — pakt Kelloga, trzecia — protokuł dodatkowy, zwany paktem Litwinowa, wreszcie czwarta obręcz — to obecnie podpisany pakt o nieagresji.

Ale na tem nie można poprzestać i nasz poseł w Moskwie myśli już, jaki będzie następny akt, odświeżający zaufanie wzajemne obu stron. Nomenklatura dyplomatyczna jest bardzo bogata i ma w rozporządzeniu wciąż nowe określenia, byle beczka pokoju nie rozleciała się. Będzie więc jeszcze: „traktat przyjaźni", „układ dżentelmeński", „przyrzeczenie wiecznego pokoju", „konwencja sojusznicza". — Lingwiści listę tę mogą przedłużać do nieskończoności. Coraz to nowa i piękniejsza nazwa, a rzecz wciąż ta sama: obręcz, trzymająca klepki wysychającej zaprędko beczki.

. . . .

(k) Kanikuła w całej pełni. Równocześnie najwyższe napięcie kryzysu. Na ulicach stolicy ruch zamiera. W bankach cmentarną ciszę przerywa tylko ziewanie znudzonych urzędników. Zakłady fabryczne obumierają. W sklepach drzemią subjekci. Łańcuchy pustych taksówek wyczekują daremnie gości. Nikt się nie spieszy, bo nikt nie ma nadziei, żeby mógł gdziekolwiek dostać pieniędzy.

— Co będzie dalej?

Powiadają:

— Trzeba przetrzymać!

I dodają na pociechę:

— Gdzieindziej jest jeszcze gorzej!

Przetrzymać? Łatwo to mówić tym, co są zabezpieczeni, często nawet wcale dobrze. Ale to garsteczka.

Gdzieindziej jest gorzej? W tem dziś już, niestety! tkwi wielka przesada.

Kryzys najgorszy, kryzys zaufania i wiary, pogłębia się z każdym miesiącem. Gdy cały byt materjalny kraju i narodu zagrożony, czyż nie pora uderzyć na alarm, uruchomić wszystkie twórcze siły społeczne, bez względu na ich przynależność partyjną, podjąć akcję ratunku publicznego? Gdyby wybuchła wojna zewnętrzna, połączylibyśmy się odrazu wszyscy dla obrony ojczyzny. Czyż niebezpieczeństwo, grożące całemu ogółowi polskiemu, nie domaga się tego samego?

Mamy-ż czekać bezczynnie i bezradnie, aż się dopełni Przeznaczenie.

. . . .

(go) Już się dziś wszyscy badacze kryzysu polskiego w dziedzinie gospodarczej zgadzają w tym punkcie, że nasz kryzys jest zwy-

ZGON MĘŻA STANU



Ś. p. ks. prałat Ign. Seipel, trzykrotny premjer austrjacki, wódz chrześcijańskiej demokracji.

kłą anemją. A że krwią społeczną jest pieniądz, więc wiemy, że zastrzyk poważnych kapitałów inwestycyjnych i kredytów długoterminowych na budowę, na drogi i t. p. rozwiązałby wszystkie nasze problemy.

Ciekawą ilustrację rzeczywistego stanu rzeczy w tem zagadnieniu, skąd mogą przyjść kapitały, ale nie chcą, daje następujący wypadek:

W pewnej wsi popełniono poważną kradzież cennych przedmiotów we dworze. Podejrzenie padło na paru włościan. Policja dokonała rewizji w kilkudziesięciu chałupach i, o dziwo, nie było ani jednej, w którejby nie natrafiono w różnych skrytkach na oszczędności w gotówce od 2 do 5 tysięcy złotych i to przeważnie w srebrze.

Jeżeli w jednej wsi włościańskiej znajduje się w ten sposób ztezauryzowanych, bez procentu, więc bez użytku, kilkaset tysięcy złotych, to ile ich jest w całej Polsce?

Zadanie arytmetyczne nietrudne do rozwiązania. Setki miljonów leżą bezczynnie, zamiast pracować.

Pieniądze są. Trzeba tylko umieć je uruchomić.

O ile nam wiadomo, jest ktoś, kto wpadł na doskonały pomysł uruchomienia tych zamrożonych skarbów i odnośny plan złożył sferom miarodajnym.

Może kanikuła wstrzymuje realizację projektu!

. . . .

(Ivr). Przykrym zgrzytem w uroczystem „Święcie Morza" była kwestja przewozu pasażerów. Ministerstwo komunikacji, jak również władze porządku publicznego w Gdyni wykazały całkowitą nieudolność.

Jeszcze jako tako uporano się z przewozem pasażerów do Gdyni; natomiast w drodze powrotnej pozostawiono ich łasce losu i własnym mięśniom.

Pociągi zdobywano siłą, wdzierając się wśród bójek i wymysłów przez drzwi i okna. Tratowano kobiety i dzieci. Zwycięzcami w tych barbarzyńskich zawodach była młodzież ze „Strzelca", z harcerstwa, z przysposobienia wojskowego i innych organizacji „wychowania" fizycznego. Zdano egzamin, że wychowanie to w Polsce robi postępy. Szturmowaniu pociągów, przypominającemu ewakuację lub początki przewrotu bolszewickiego, przyglądała się bezczynna policja i obsługa kolejowa. Z sytuacji korzystali kieszonkowcy, okradając masowo pasażerów. Zdarzały się częste wypadki omdlenia.

Czy tego rodzaju „usprawnienie" ruchu kolejowego nie odbije się ujemnie na opinji o polskich zdolnościach organizacyjnych? Czy nie sparaliżuje odruchów patrjotyzmu? Na przyszłość bowiem przy wszelkiego rodzaju manifestacjach narodowych wielu przypomni sobie „rozkoszny" powrót z Gdyni i zostanie w domu.

Zlekceważono potrzeby pasażerów, jadących z krańców państwa, narażając ich na najstraszliwsze niewygody. Nawet w stosunku do żywego inwentarza okazanoby więcej troskliwości.

. . . .

(O.) W centralnem wydawnictwie Z. S. R. R. ukazała się książka pt. „Pół wieku literatury polskiej", pióra H. S. Kamieńskiego z przedmową Karola Radka. Jest to podręcznik naszej literatury specjalnie przyrządzony dla propagandy antipolskiej. Nie zajmowalibyśmy się nim, gdyby nie bojowy wstęp K. Radka.

Działacz ten jest osobistością znaną. Pochodzi z Małopolski. Na uniwersytecie krakowskim zaprawiał się do bojów o marksizm. Wskutek pewnych niedokładności w rachunkach partyjnych musiał emigrować do Niemiec. W Lipsku rozwijał działalność w szeregach socjal-demokracji oraz zwalczał ostro i bezwzględnie P. P. S. Po wojnie wypłynął, jako czołowy bojownik bolszewizmu. Nie ustaje on w pracy nad podkopywaniem polskości, głosząc, iż nasze społeczeństwo jest „burżuazyjno-szlacheckie".

We wstępie do podręcznika H. K. Kamieńskiego wyjaśnia on cel tej książki dosyć lapidarnie i bezceremonjalnie: należy „wroga znać, aby go umieć bić!" Wydano więc ten podręcznik, by proletarjat polski poznał swego... wroga. Kim jest ten wróg? Literatura czy społeczeństwo? Dla Radka wrogiem jest całe państwo polskie.

Że też Sowiety chcą marnować pieniądze na taką makulaturę! Z książki ze wstępem Radka nikt szukający wiedzy nie będzie przecież czerpał informacji o literaturze polskiej.

. . . .

(P.) B. G. Shaw interesuje zawsze, nawet gdy... fantazjuje na tematy, o których niewiele może powiedzieć. Ostatnio nahaftował na tle swojej podróży do Sowietów. Haft ten obiegł cały świat, budząc wszędzie zaciekawienie i... zdumienie. Przy sposobności nie omieszkał twórca „Pigmaljona" powiedzieć kilku cierpkich słów o Polsce:

— Polska to kraj największych w Europie kontrastów: obok superkretynów („supercretines") rosną w tym kraju genjusze, tacy jak Paderewski, jak Conrad-Korzeniowski.

Poza tem możemy się jeszcze dowiedzieć z ust znakomitego paradoksisty o naszej ojczyźnie:

— Ah, Polska! Przejeżdżałem przez nią w tym roku. To coś nie dla mnie: paski i paseczki pól chłopskich zacieśniają horyzont. Ciemnota taka, jak w dawnej Rosji, albo u nas w Irlandji...

Bez komentarzy pozostawiamy te osądy twórcy „Rzemiosła pani Warren". Można przecież być genjuszem i wydawać opinje o jakimś kraju, widząc go tylko z okien restauracyjnego wagonu.

. . . .

(Gł.) W prasie wileńskiej przez jakiś czas sypały się gromy na prof. Juljusza Kłosa, kustosza zabytków przeszłości, że ofiarował podczas kolacji znajomemu swemu literatowi z Warszawy strzęp złotogłowia królowej Barbary Radziwiłłówny. Ile było tego złotogłowia, nikt nie wie!.. Warszawski literat twierdził, że kilka nitek, lecz wileńscy miłośnicy przeszłości nadawali im wartość bezcenną. Żądano dochodzenia karnego, dyscyplinarnego, honorowego! Zakotłowało się w wileńskim światku kulturalnym. Rzecz to przecież niesłychana, by kustosz zabytków przeszłości „po-pijanemu" rozdarowywał skarby historyczne!

Opinja wileńska rychło przekonała się, iż cała wrzawa dookoła prof. Kłosa była rozdęta. Warszawski literat figuralnie i barwnie opisywał swoją wizytę w stolicy Jagiellonów, a żarliwcy regjonalni słowa jego wzięli na wagę złota. Nikt mu złotogłowia królowej nie ofiarował!

Wogóle literat ten, skądinąd zdolny i doskonały tłomacz „Don Kichota", ma dziwnego pecha. Co krok — to potknięcie. Niedawno wygłosił odczyt w kole miłośników literatury hiszpańskiej i też przez kilka tygodni sypały się z tego powodu polemiki i inwektywy, aż musiało oficjalnie interwenjować poselstwo hiszpańskie. Niektórzy twierdzą, że wypływa to z jego upodobania do... żartobliwości. Stąd spotykają go wciąż przykrości i niemiłe przygody. Nic to nie znaczy. Don Kichot też cierpiał przecież wskutek szlachetnych intencji, powstałych z urojenia. Nie żartował on jednak.

NA POGRANICZU PÓŁNOCNEM

P. Prezydent Rzeczypospolitej wśród Ułanów.

Nie pożywiła się Polska sąsiedzką krzywdą nigdzie, a już najmniej — na północy. Granica idzie szczerą mazurską ziemią, że aż dziw, gdy się pomyśli, iż o parę kilometrów — Prusy lub Litwa. Augustowskiem województwem zwało się to w Królestwie Kongresowem, dopóki Moskale nie wymyślili gubernji suwalskiej.

Wojsko rosyjskie stało tu obficie: kawalerja i brygady strzeleckie, frontem ku granicy pruskiej. Uważano pobyt w tych garnizonach za dopust Boży. Bo i prawda: miasteczko małe, skromne, ludność obca, do większych miast — daleko, a jak na urągowisko młodym kawaleryjskim kornetom — niedaleko wiodąca przez Ejdkuny linja Petersburg — Berlin, hucząca przelotem wagonów sypialnych.

Wszystko to już uszło w bezpowrotną dal. Już się nawet przestaje pamiętać, że kiedyś było. Zostały po nich tylko koszary, tętniące dzisiaj innem życiem.

Wojska polskiego w Suwalszczyźnie i Augustowskiem mniej, niż było rosyjskiego; odmienne warunki i wymagania obrony granic. Stoją tu zato wyborne pułki, otoczone miłością ludności i nie uważające swego zakwaterowania za zesłanie.

Zapewne: oddalenie od Warszawy jest znaczne, a droga kolejowa przez Grodno i Białystok — daleka. Zapewne: brak tu wiejskich sąsiedztw, stanowiących ucieczkę towarzyską dla prowincjonalnych garnizonów. W zimie życie staje się z konieczności zamknięte w pułkach i monotonne. Natomiast nikt nie zaprzeczy, iż w przychylniejszych porach roku cudna przyroda kraju lasów i jezior daje najwyższe za czas zimowy zadośćuczynienie. Koniec lata i pierwsze tygodnie jesieni są dla wojska okresem ćwiczeń i przemarszów, ciężkim, ale urozmaiconym i wesołym, momentem życia żołnierskiego. Wtedy to żołnierz uczy się kochac swój kraj, zwłaszcza, gdy spotyka się na ma-



P. PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ NA REWJI UŁANÓW KRECHOWIECKICH

POWRÓT P. PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ Z WYCIECZKI PO JEZIORZE AUGUSTOWSKIEM

newrach z przychylnością mieszkańców.

Szczególniejszy urok mają uroczystości wojskowe, obchodzone w tym cudnym kraju. Na gościnne przyjęcie składa się wówczas wszystko: przyroda, ludzie i rodzące się w sercach uczucia.

Niedawno Pan Prezydent Rzeczypospolitej odwiedził 1-szy pułk ułanów Krechowieckich w Augustowie, z okazji 15-lecia bitwy pod Krechowcami, później zaś — 2-gi pułk ułanów Grochowskich w Suwałkach, z racji 15-tej rocznicy istnienia tego pułku. Były to dwa śliczne święta żołnierskie, które zostawiły w pamięci uczestników trwałe wspomnienie.

Gdzież mógł wypaść piękniej apel pułkowy, jak nie na placu koszar augustowskich, otoczonym ścianą boru i zbiegającym do szemrzących fal jeziora?

Pułk Krechowiecki otrzymał w tym dniu wspaniały dar od brygady stanisławowskiej: urnę z ziemią z pod Krechowiec, a od miasta Stanisławowa dyplom, stwierdzający, iż w dniu 23 lipca roku 1917 dobrze zasłużył się miastu, broniąc je przed maruderami rosyjskimi.

W Suwałkach 2-gi pułk ułanów Grochowskich upamiętnił 15-lecie istnienia wzniesieniem pomnika swemu szefowi, generałowi Dwernickiemu. Postać zwycięzcy z pod Stoczka, wykonana w kamieniu, stanęła u wejścia głównego do koszar ułańskich. Nie jedyny to pomnik, jakim wojsko polskie przyozdobiło Suwałki. Piechota postawiła na swojem terytorjum pomnik piechurowi polskiemu; w projekcie są jeszcze inne pomniki w tem ładnem i czystem, nieco sennem mieście. Wszystkie one są dłuta p. Juszczyka, związanego z wojskiem i pracującego dlań niemal zupełnie bezinteresownie.

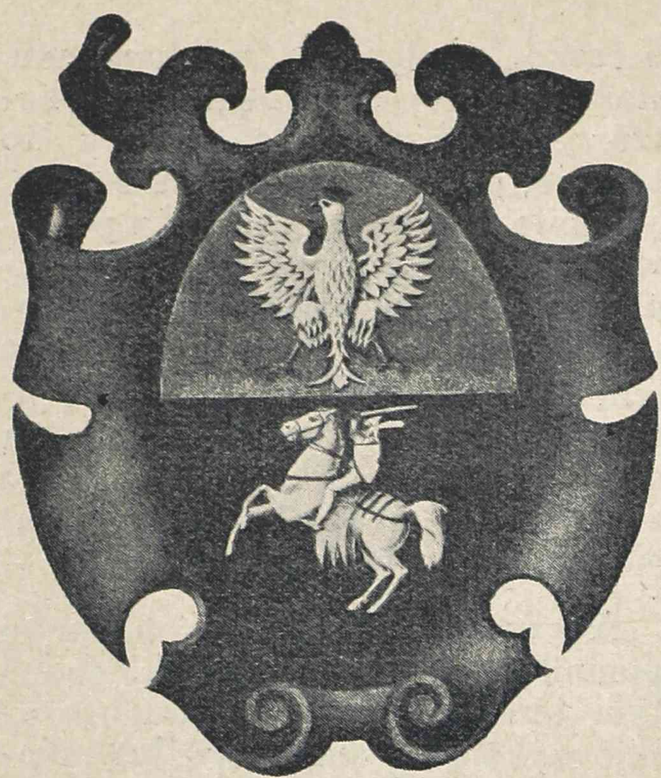
A czyż nie jest wiekopomnym pomnikiem wojska polskiego na tym terenie sam kanał augustowski, wykonany ongiś według planów generała Prądzyńskiego przez korpus saperów? Gdy mija się most w Augustowie, odczytać można na kamieniach szluzy: „Wykonał porucznik saperów Jodko w roku 1817". Napisy takie, o różnych nazwiskach, mamy wzdłuż całego kanału. Przetrwały one niewolę i doczekały, że wojsko polskie powróciło, aby krajowi lasów i jezior nieść twórczą swoją pracę, a w potrzebie — zasłonić go przed wrogiem murem piersi, gąszczem bagnetów i lasem lanc.

Antoni Bogusławski



DEFILADA UŁANÓW GROCHOWSKICH IM. GEN. DWERNICKIEGO W SUWAŁKACH

ODSŁONIĘCIE POMNIKA GEN. DWERNICKIEGO W SUWAŁKACH W OBECNOŚCI P. PREZYDENTA



HERB BIAŁEGOSTOKU

Numer niniejszy poświęcamy w znacznej części województwu białostockiemu, pragnąc spopularyzować jego walory turystyczne: potęgę puszczy Białowieskiej, malowniczość Jezior Augustowskich, piękno i zdrowotność Druskienik, zabytki historyczne Grodna, uroki ziemi Kurpiów i t d

Oblicze Białostocczyzny

Województwo białostockie jest jedynem w Rzeczypospolitej, które nie uszanowało podziałów zaborczych i rozciągnęło się po obu stronach dawnej granicy Królestwa Kongresowego. Posiada wskutek tego dwa prawodawstwa: królewsko-polskie w 7 powiatach i cesarsko-rosyjskie — w pięciu; nadto pod względem składu narodowościowego rozpada się ono na dwie części etniczne: 9 powiatów jest czysto polskich z domieszką normalną żydów i 3 powiaty (grodzieński, bielski, wołkowyski) zaledwie w połowie są polskie, w drugiej zaś — białoruskie, także z odpowiednim procentem żydów; pozatem na skraju powiatów suwalskiego, augustowskiego i grodzieńskiego spotyka się nieco Litwinów.

Te różnice prawodawcze i etniczne nie przeszkodziły województwu białostockiemu utworzyć pewnej całości o samoistnym, odrębnym od innych prowincji, charakterze kulturalno-gospodarczym. Przyczyniły się do tego głównie warunki przyrodnicze; na całym tym obszarze mieszanym etnicznie i wielokrotnie krajanym granicami administracyjnemi istnieją naturalne czynniki łączące: jednakowy, dość surowy klimat, podobna małourodzajna gleba piaszczysta, nadmiar wód, tworzących jeziora, rozlewne rzeki, bagniska i mokre łąki, obfitość lasów (ponad 25% powierzchni), przy dość słabem zaludnieniu, gdyż przeciętnie wynoszącem 50 mieszkańców na klm². Wszystko to składa się na urobienie jednolitej niemal struktury ekonomiczno-społecznej na całym obszarze tego województwa.

Ma ono charakter wybitnie rolniczy, z przewagą znaczną drobnych gospodarstw; pod względem kultury rolnej stoi na niskim poziomie, produkując głównie żyto i kartofle. Wielki przemysł — poza drzewnym—nie ma warunków rozwoju, chociaż dwukrotnie sztucznie go tu wprowadzano: za Stanisława Augusta w Grodnie staraniem Tyzenhauza, po powstaniu listopadowem — w Białymstoku, wskutek oddzielenia Kongresówki od cesarstwa kordonem celnym. Pierwsza próba rychło upadła, druga przetrwała do wielkiej wojny, która zadała cios śmiertelny włókiennictwu białostockiemu. Trzyma się jeszcze wytwórczość niskogatunkowa: wyrób taniego sukna, koców, derek, ale z roku na rok słabnie.

Inna natomiast dziedzina przemysłu rozwinęła się podczas i po wojnie i może całkowicie zrekompensować zanik tamtej. Bogactwa leśne województwa, największe w całej Polsce, wskazują kierunek rozwoju ekonomicznego województwa białostockiego. Może ono stać się domeną przemysłu drzewnego, zastępując wywóz drewna w stanie surowym eksportem jego produktów i przetworów.

Inne gałęzie wytwórczości: garbarnie, cegielnie, huty szklane, mydlarnie, gorzelnie, browary, młyny, fabryczki narzędzi rolniczych — obliczone są jedynie na zaspokojenie potrzeb lokalnych. Takie samo znaczenie ma bardzo rozpowszechniony przemysł ludowy: wyrób kilimów, płótna, garncarstwo, kaflarstwo, koszykarstwo. Ludność chętnie się niemi zajmuje, znajdując w ten sposób uzupełnienie niedostatecznego utrzymania, którego głównem źródłem jest rolnictwo.

Z natury nietęgie, sapowate grunty traciły nadto swą wartość z dwóch przyczyn: nadmiaru wód i szachownicy. Rok rocznie powódź niszczyła zasiewy i czyniła nieużytecznemi łąki. Dziesiątki spółek wodnych, zawiązanych we wszystkich powiatach po odzyskaniu niepodległości, przeprowadziły regulację rzek i strumyków, odwodniły wielkie obszary i oddały je pod uprawę lub na pastwiska. W setkach wsi przeprowadzono na żądanie ludności akcję scaleniową gruntów i uzupełnienia gospodarstw karłowatych. Te meljoracje wpłyną korzystnie na położenie mieszkańców, których stan kultury materjalnej i duchowej należał dotychczas do najniższych w Polsce.

Ludność ta, pochodząca zarówno z pnia polskiego, z osiadłych tu przed wiekami mazurów, jak i ze szczepu białoruskiego, który wyparł Litwinów, ma zresztą wspólne podglebie etniczne: zamieszkujących niegdyś te ziemie Jadźwingów. Stąd zapewne pochodzi, że lud tutejszy: polsko-katolicki i rusko-prawosławny ma jednakowe nastawienie psychiczne: stateczność, ponurość, ociężałość, nieruchawość, konserwatyzm. Różni się on usposobieniem od najbliższych sąsiadów — od mazura płockiego czy białorusina nowogrodzkiego.

Ten kraj po-jadźwiński ma przyrodzone wspólne cechy, chociaż odróżnić w nim można cztery wyraźne regjony: zachodni, zgrupowany wokół Łomży, zaludniony przez szlachtę szaraczkową i kurpiów; północny, skupiający się przy Suwałkach; wschodni, grawitujący do Grodna i południowy, ciążący ku Białemustokowi. Mają one różne na tem pograniczu zadania narodowe do spełnienia. Pierwszy zwraca się frontem do Prus Wschodnich, by nie zatracić kontaktu z oddzieloną kordonem pokrewną ludnością mazurską pojezierza pruskiego. Drugi jest wysuniętą placówką polskości ku Litwie Kowieńskiej, gdzie pozostało tylu naszych rodaków. Grodno ma dwa problemy: litewski za Niemnem i białoruski u siebie; wreszcie ostatni regjon białostocki — już tylko z wewnętrzną sprawą białoruską ma do czynienia.

Te cztery ośrodki województwa białostockiego, a może już tylko trzy, bo Suwałki coraz bardziej ciążą gospodarczo i kulturalnie ku Grodnu, pozwalają niektórym wysnuwać wnioski o braku nici łączącej województwo. Powstał nawet w łonie „Komisji dla usprawnienia administracji" projekt podziału województwa białostockiego: gros z Łomżą, Suwałkami i Białymstokiem przeszłoby do woj. warszawskiego, Grodno i Wołkowysk — do wileńskiego, Bielsk — do poleskiego. W ten sposób utworzyłoby się olbrzymie województwo warszawskie o 55 tys. km², 3½ miljonach ludności i 38 jednostkach powiatowych; — jest to już wcale spore

państewko. Istniałoby ono jako twór równoległy i równoprawny z woj. Śląskiem, mającem tylko $9\frac{1}{2}$ tys. km^2 obszaru, z woj. lubelskiem, liczącem niespełna $1\frac{1}{2}$ mil. mieszkańców i woj. łódzkiem, rozpadającem się zaledwie na 8 powiatów. I taki nierównomierny podział państwa ma być uważany za ideał!

Monstrualność projektowanego województwa warszawskiego rzuci się w oczy, jeśli powiemy, że ma ono sięgać od Skarżyska po Suwałki i od Kutna pod Grodno. Czyż taki obszar, zróżniczkowany pod względem struktury społeczno-gospodarczej, poziomu kulturalnego, tradycji regjonalnych i przyzwyczajeń administracyjnych, może być z pożytkiem rządzony według tych samych metod?

Już po paru latach trzeba go będzie rozparcelować i pooddawać zabrane skrawki sąsiednim regjonom, zostawiając przy Warszawie właściwy jej teren — Mazowsze nadwiślańskie.

Pocóż więc dokonywać kosztownych i niebezpiecznych eksperymentów? Województwo białostockie ma normalne rozmiary i dobrą formę, ma możliwe połączenie wszystkich powiatów z centralnie położonym Białymstokiem, ma naturalne wiązadła i wspólne cechy cywilizacyjne, ma swe własne zadania państwowe, powinno też pozostać osobną częścią w organizmie Rzeczypospolitej.

W. Giełżyński

JÓZEF PIŁSUDSKI

PIĘKNO DRUSKIENIK*)

Gdy Twórca nad dziełem swem się trudzi, ma musowe chwile zmęczenia i wtedy odpoczynek wyraża się w niespodziance wolnej od więzów pracy myśli, w odetchnięciu głębszem piersi i w uśmiechu radości z rozkoszy swobody i spoczynku.

Kiedy Wielki Stwórca równię nadniemeńską rzeźbił, szedł linją surową i w silniejszym skurczu dłoni kształty ziemi lepił. Bogato sypał na nią żółtawym aż do bezbarwia białości piaskiem, prósząc ją obficie mchem, jakby siwym od starości dziejów ziemi i swego istnienia. Jako wierne sługi swych wyroków, rzucił mnóstwo wiecznie zielonych sosen, ciskając je dłonią w puszcze, na straż zaś puszcz wyrzucił na ich boki najsilniejsze, bujne sosny, co nielękliwe z burzą i nawałnicą się pasując, w konwulsjach wysiłku mięśnie swe prężą i wykrzywiają, jak zamarli w walce rycerze.



MARSZAŁEK PIŁSUDSKI
PRZED SWYM DWORKIEM W DRUSKIENIKACH

Wyroki Stwórcy skazują ludzi na tę ziemię rzuconych na mozół i trud wielki, by z ubogiej gleby, jak ta sosna, życie wydobywali, by byli w trwałości pracy niezmienni, jak zieleń wieczna koron drzewnych, a na straż swej ziemicy wysyłali silnych, co w burzy się nie zegną.

Lecz gdy Stwórca - Rzeźbiarz do Niemna brzegu się zbliżył i zmęczony surowością pracy palcom spocząć pozwolił, z rozkoszy wolności i odpoczynku ku ziemi błogi uśmiech spoczywania posłał. Wdzięczna ziemia odkurczyła swą pierś ściśniętą do prostoty płaszczyzny. Mała Rotniczanka skoczyła radośnie, spiesząc ku Niemnowi, jakby samą siebie prześcignąć chciała i tanecznym po kamieniach biegiem w niespodziane a narozcież otwarte wrota wąwozu się wsączyła. Szeroki, rozłożysty i wartki Niemen, głęboko prując pierś matki ziemi, podobieństwo swawolnych gór czynił. Z pod ziemi trysły źródła o różnych smakach, a barwna zieleń z niespodziewanemi i strzelistemi jak gotyki drzewami zastąpiła mech siwy i szary.

W ten sposób Druskieniki były niespodzianką myśli Stwórcy w odpoczynku, gdy Ten się uśmiechnął.

Nieraz, gdy myślę o tem, szukam małości myśli ludzkich wobec wielkości myśli Stwórcy. I wydaje mi się, że człowiek sądzi, iż piękna i miła Rotniczanka nie ku Niemnowi spieszy, lecz ku kaskadom kąpielowym, by schudzone w upałach ciało miły chłód wody na się przyjmował.

W zapomnieniu też myśli człowiek, iż potężny Niemen w skrętach biegnie, by w Druskienikach plażę sformować. A gdy matka ziemia słonemi łzami swe bóle we wnętrzu omywa, człowiek w rury łzy chwyciwszy, podagrykom i sklerotykom uśmiech na lica chce powracać.

Wielkości, gdzie Twoje imię? Małości, gdzie twoje myśli? I śni mi się często w Druskienikach, że bodaj w jednym tylko błogim uśmiechu swobody odpoczynku po pracy, jak w jakiejś wieczności prawdy o miłym śmiechu niespodzianki — spotkać się Wielkość i Małość mogą.



NIEMEN POD DRUSKIENIKAMI Fot. L. Baranowski

*) Fragment ten zaczerpnięty jest ze „Złotej Księgi Druskienik", znajdującej się w Zakładzie Druskienickim.



W gościnie u żubrów

Puszcza jest cudna w każdej porze roku, ale bodaj najcudniejsza bywa na wiosnę.

— Jedź w kwietniu — zalecał mi jeden z przyjaciół, entuzjasta kniei białowieskiej. — Zobaczysz rzeczy nadzwyczajne. Zanim drzewa zdążą okryć się liśćmi, zanim zazielenią się paprocie, zanim zgęstnieje kosmaty kobierzec obfitej runi leśnej, cała puszcza znajduje się w niepodzielnem władaniu kwiatów. Cóż za bogactwo barw! Istna mozaika dywanów czerwonych, białych, błękitnych i Bóg wie jakich jeszcze.

Pojechałem w... lipcu i nie napasłem oczu bajkową nawałnicą barw. Tęczowa paleta puszczańska w tym miesiącu należy do przeszłości. Podczas lata Białowieża staje się już tylko terenem szalonego wyścigu, w którym hasłem jest byle wyżej, a stawką ożywczy promień słońca. Biorą w nim udział wszystkie drzewa, każdy krzak najmniejszy. Wszystko okryło się zielonym płaszczem listowia i dąży nagwałt ku górze, ku bezkresnym rejonom wichrów i powodzi słonecznego blasku, w którym kąpią dumne głowy najwyższe, pięćdziesięciometrowe świerki.

Ile lat trwają tu owe olbrzymy? Sto, dwieście lub może trzysta i tyleż zapewne trwać będą, aby ulegnąć wreszcie przemocy żywiołu — burzy czy wichurze. A i wtedy jeszcze, strzaskawszy ciężarem swych odwiecznych pni, okrytych siwemi porostami, kilku lub kilkunastu sąsiadów, pozostaną na miejscu, służąc za urodzajne podłoże paprociom, powojom i grzybom.

Nie może być inaczej, bo przecież serce Białowieży—Park Narodowy — ma pozostać po wsze czasy nietknięty, zachowany w całej pełni swej krasy pierwotnej. Nie będzie nas — będzie las. Z całego olbrzymiego obszaru puszczy blisko pięć tysięcy hektarów wszakże uchroniono przed niszczącą siekierą drwala, dzięki wydzieleniu tego terenu w osobną jednostkę — rezerwat, w którym wszystko, od drzewa do najskromniejszej trawki, od jelenia i orła do wiewiórki czy bodaj myszy leśnej, podlega bezwzględnej ochronie.

Wielki ten rezerwat, jedyny w swoim rodzaju na lądzie europejskim, ma swe naturalne granice. Z jednej strony bystra rzeka Narewka, z drugiej jej dopływ — Hwoźna zamykają go w swych widłach, dając dostateczną ochronę. Granica sucha jest otwarta wprawdzie. Tylko na niewielkiej przestrzeni przy br mie istnieje tu coś w rodzaju niewysokiego płotu. Ale gajowi czuwają, a sama bliskość b. pałacu cesarskiego, w którym mieści się szkoła leśniczych i urzęduje kierownik rezerwatu, stwarza dla Parku Narodowego zupełnie wystarczająco bezpieczne warunki.

Ten pałac wraz z parkiem, to chyba jedyny brzydki fragment Białowieży. Zbudowano go dla Aleksandra III-go i sam car, ujrzawszy go po raz pierwszy, miał powiedzieć:

— Cóż to za wstrętna karczma.

Podobno udobruchał się dopiero na widok przepysznych wnętrz pałacu, wygodnych komnat, wyłożonych bogatą boazerją od podłogi aż do stropu. Mówią jednak, że do końca życia pozostał wierny skromnemu dworkowi, skleconemu przez jego poprzednika Aleksandra II-go, a istniejącemu po dziś dzień i służącemu za kasyno dla urzędników dyrekcji lasów białowieskich.

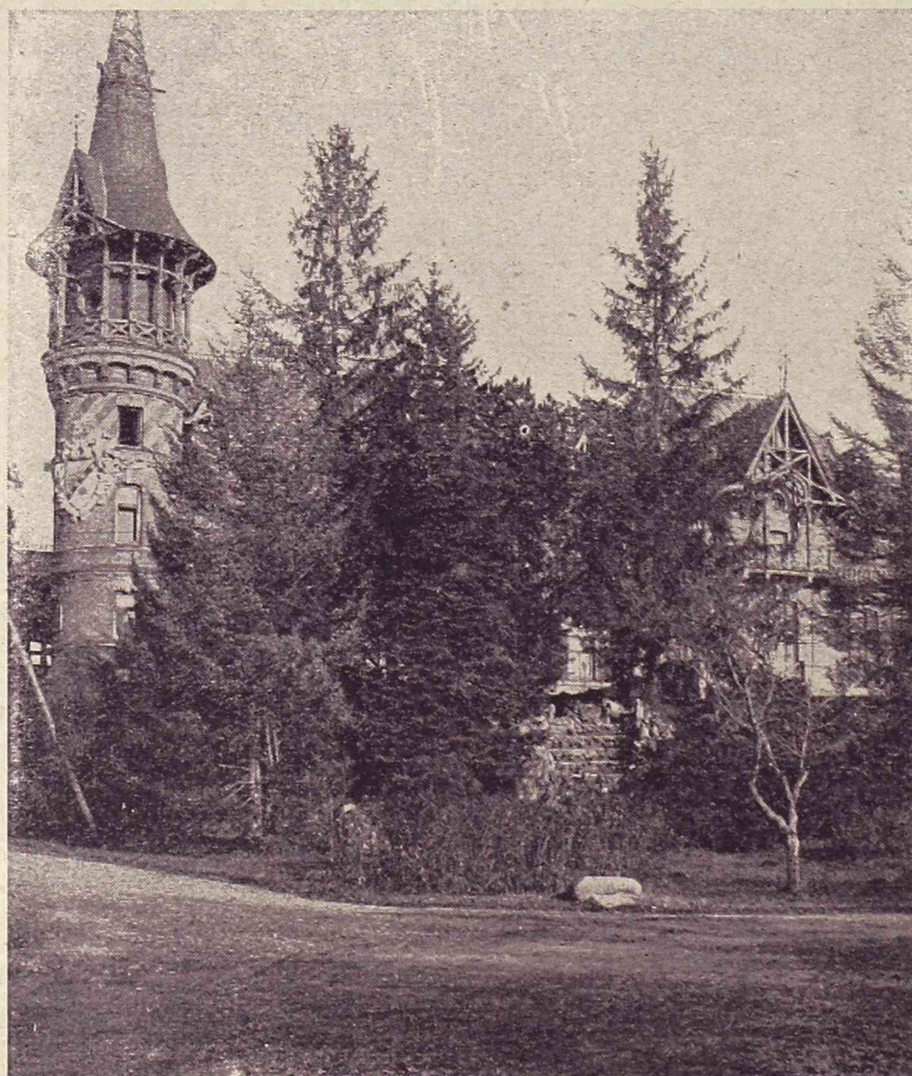
Ale jeśli pałac sprawia wrażenie niemiłe, jako typowy przykład złego smaku, jako obca Białowieży naleciałość wschodnia, to równie brzydką naleciałością, wręcz plamą na wspaniałym zielonym płaszczu naszej puszczy, jest park pałacowy. Ileż w nim drzew obcych, cudzoziemskich. Co robią tutaj te wszystkie modrzewie syberyjskie, sosny górskie, dęby piramidalne czy buki czerwone, prezentujące zdumionemu przybyszowi swe bilety wizytowe w postaci umieszczonych pod niemi tabliczek?

Wszystko to jest jaknajoczywiściej obce, nie mające żadnego odpowiednika wśród bogactw leśnych puszczy, której park winien być przecież dokładnem odzwierciedleniem. Ale trudno. Dziś zmienić tego już się nie da. Osobliwości dendrologiczne parku mają zresztą obecnie pewne usprawiedliwienie, ułatwiając naukę przyszłym leśniczym, których szkoła mieści się w Białowieży. A cudacki pałac dziś już posiada znaczenie niemal zabytkowe. W fundamentach jego tkwią podobno głazy, pozostałe po zamku, który istniał niegdyś w puszczy, zbudowany, jak głosi podanie, przez Gedymina. W tym to zamku zapewne mieszkał Jagiełło, gdy w r. 1409 przed zwycięską potrzebą grunwaldzką zjechał do Białowieży na wielkie łowy, mające cel zgoła praktyczny — zaopatrzenie wojsk w żywność. Tenże zamek służył przypuszczalnie królowi za miejsce pobytu w r. 1426 podczas panującej w Krakowie zarazy.

Dworzyszcze jagiełłowe dziś już nie istnieje, ale pamięć ludu puszczańskiego przechowała liczne legendy i podania, sięgające owych czasów odległych i tych młodszych nieco, kiedy przybywał do Białowieży Jegomość król Batory i jeszcze nowszych, gdy polował tu August Mocny. Po tych dwóch władcach pozostały w puszczy trwalsze pamiątki. Jedna w postaci t. zw. Góry Batorego, na której obozował król Stefan podczas łowów, druga w postaci obelisku, postawionego nad rzeką Narewką w pobliżu dzisiejszego pałacu ku uwiecznieniu pamięci o polowaniu, jakie w r. 1752 sprawił tu August. Obelisk ten, w latach wielkiej wojny wywieziony do Rosji, odzyskaliśmy wśród innych zabytków na podstawie traktatu ryskiego, ale puszczy dotąd go nie zwrócono. Szkoda! Jest to bądźcobądź dokument historyczny, widomy znak odwiecznego władania Polski nad tym krajem bagien i lasów, prawdziwym rajem myśliwych, dokąd zagląda niejeden turysta z Zachodu.

Rzadcy są dziś jeszcze ci goście zagraniczni. Zato turystyka rodzima coraz więcej zwraca uwagi na Białowieżę. Rok ubiegły przynosi już pokaźną cyfrę 16,000 zwiedzających, dla których niemałem udogodnieniem są urządzone obszerne i czyste schroniska z wygodnemi łóżkami. A rok bieżący wykaże zapewne znaczną zwyżkę, bo jest przecież po co jechać do Białowieży! Park Narodowy, rezerwat dla żubrów i przebogate muzeum przyrodnicze.

Trochę przyciasno wprawdzie tym żubrom w rezerwacie. Dwadzieścia hektarów dla stadka, liczącego dzisiaj już dziesięć sztuk, a w najbliższej przyszłości rokującego dalszy przyrost naturalny, to stanowczo za mało.



PAŁACYK W BIAŁOWIEŻY



RZECZKA PUSZCZAŃSKA — PRZYSZŁA SIEDZIBA BOBRÓW



ŻUBRZYCA Z MAŁEM U SIEBIE W REZERWACIE

Przybywamy tam właśnie po blisko godzinnej jeździe bryczkami po przecinającej puszczę szosie. Kierownik Parku Narodowego, a więc z urzędu niejako naturalny opiekun żubrów, w asyście dwóch gajowych, wprowadza grono turystów na teren żubrowego rezerwatu, zamykając za nami troskliwie bramę.

— Proszę mieć się na baczności — ostrzega. — Gdyby żubrom zachciało się nas zaatakować, trzeba będzie schronić się za płot.

Dość mizerny to schron — ten płotek wewnętrzny, sklecony z nieociosanych bali. Potężny zwierz pod wpływem jakiegoś podrażnienia mógłby rozwalić go z łatwością. Oczywiście nikomu nie przyjdzie ochota doprowadzać żubra do złości. Wręcz odwrotnie, wszyscy czują respekt już zgóry, na dystans. Połowa towarzystwa odrazu sadowi się przezornie na płocie, za którym w odległości dwóch kroków zaledwie widnieje łączący się z nim drugi. Coś w rodzaju trójkątu bezpieczeństwa.

— Jakże sobie radzą z żubrami ludzie, którzy doglądają ich stale? — pytam.

— Ano, zdarza się, że bywają w opresji — śmieje się kierownik. — Niedalej, jak wczoraj, żubr napadł na naszego łowczego Charczuna, przyparł go do drzewa i przez całe pół godziny trzymał biedaka w szachu, bawiąc się z nim poprostu w chowanego. Łowczy na prawo, żubr na prawo, łowczy na lewo, żubr też. Dopiero jeden z gajowych, spostrzegłszy, co się święci, postarał się odwrócić uwagę zwierzęcia, uwalniając w ten sposób przypadkowego więźnia.

— Nadchodzą — rozlega się pełny zdenerwowania szept i całe bractwo pospiesznie kryje się za zbawczym płotem, spoglądając ciekawie na wyłaniające się z głębi lasu zwierzęta.

Wśród gęstej zieleni zarośli czernieją olbrzymie, włochate ciała. Jest ich trzy, potem pięć. Jeszcze chwila i całe stadko defiluje majestatycznie przed płotem, z poza którego wysuwają się ciekawe głowy. Idą parskając ciężko, z głuchym porykiem. Ani poznać po nich lat niewoli w ogrodach zoologicznych, w obcym kraju, w obcym klimacie. Trzy zimy nawpół swobodnego bytowania w warunkach naturalnych zrobiły swoje. Żubry białowieskie stały się wprędce tem, czem były zawsze: szlachetnemi dzikiemi zwierzętami, nie uznającemi przemocy, czującemi i rozumiejącemi swą siłę.

Defilada skończona. Stadko oddala się i niknie w gęstwinie. Chwilę potem opuszczają rezerwat i goście, wycofując się przy zachowaniu wszelkich ostrożności z niebezpiecznego terenu.

W drodze powrotnej dowiaduję się o dalszych planach zwiększenia i urozmaicenia zwierzostanu w Parku Narodowym. A więc przedewszystkiem wielki rezerwat puszczański otrzyma niedźwiedzie i bobry.

— Sprowadzimy na początek kilka par



małych niedźwiadków — mówi mi jeden z leśniczych. — Zadomowimy je na niewielkim obszarze, który otrzyma należyte ogrodzenie, aby nie mogły odrazu wydostać się na zupełną wolność. Udzielimy im jej później, gdy podrosną nieco i przyzwyczają się do terenu. Potem będzie się je już tylko podkarmiać, jak to czynią w amerykańskim parku Yellowstone, gdzie dopraszające się o przysmaki niedźwiedzie są ogromną atrakcją dla turystów. Z bobrami pójdzie jeszcze łatwiej. Nasz Park Narodowy posiada przecież własną rzeczkę leśną, która w jego obrębie zaczyna się i kończy. Wystarczy osiedlić tu kilkanaście sztuk i żeremie gotowe.

— A zatem współpraca człowieka z naturą.

— Tak. Współpraca z naturą — przytwierdza leśniczy. — Musimy przyspieszyć nieco proces odzyskiwania przez puszczę jej bogactw zwierzęcych, zniszczonych przez wrogie ręce.

Zamyśla się na chwilę i dodaje jeszcze:

— Ech, współpraca. Byle tylko naturze nie przeszkadzać, już ona sama da sobie radę. Mamy przecież dowody. W tym naszym Parku Narodowym nikt dawniej nie widział łosi. Teraz zdarzają się. Narazie przychodzą jako goście. Niby na zwiady. Stadkami po pięć lub sześć sztuk. Napewno jednak w tych warunkach bezwzględnego spokoju osiedlą się na stałe. Rysia przedtem nie spotykało się tu nigdy. Dziś mamy już kilku. To samo ptaki — głuszce, orły czy drobiazg śpiewający. Wszystko rozradza się i pleni.

— Tak. Byleby nie przeszkadzać naturze. Już ona poradzi sobie sama i zaleczy wszystkie rany, zadane jej przez człowieka.

J. M. Taylor

Białowieża.



„I ród puszczaków z mazowiecka cięty
Słynie po świecie, chociaż w lesie siedzi
Między barciami przy gawrze
[niedźwiedzi! —
Stary to bartnik, dawny to myśliwy,
I sławny rybak!"

Tak scharakteryzował w kilku wierszach ród kurpiowski W. Pol, pisząc przed laty swoje „Obrazy z życia i natury". Autor miał rację. Ten „z mazowiecka cięty" ludek leśny, choć dziś zmienił sposób swego bytowania, choć o „gawrze niedźwiedzi" dawno zapomniał, pozostał jednak w życiu swem, charakterze i upodobaniach tym dawnym puszczakiem, dla którego bór sosnowy jest najmilszym żywiołem, a kawał najlepszej ziemi „u poloków" (t. j. na polach), nie mającej w pobliżu lasu, przedstawia lichą wartość.

Kurpiowie czy też Kurpiki — jak nazywano ich od szeregu stuleci — zamieszkują zwartą masą dorzecze środkowej Narwi i część dolnego Bugu. Puszcze nad Narwią — dawne dziedzictwo książąt mazowieckich, a potem królów polskich, — nosiły nazwę puszczy *Zielonej*, nad Bugiem zaś — lasy biskupów płockich — to puszcza *Biała*. Przez „Zieloną" przedzierają się dopływy Narwi: Pissa, Szkwa, Rozoga, Omulew i Orzyc, płynące z jezior Mazurskich w Prusach Wschodnich; stanowią one właściwą sieć rzek terenu południowo-wschodniego Pojezierza pruskiego, a wraz z przylegającem dorzeczem stanowią najdalej wysuniętą na północ część Mazowsza. Kurpiowszczyzna leży tu w granicach miast i osad: Myszyńca, Kolna, Nowogrodu, Ostrołęki, Przasnysza i Chorzel.

Nad Bugiem puszcza sięga przez Wyszków po Brok. Najwięcej lasu, ludu i tradycyj pozostało u puszczaków nad Narwią — o nich więc najczęściej mówimy, pisząc o Kurpiach. Borów tu państwowych dziś jeszcze około 150 tys. mórg; tylko puszcza Białowieska nad górną Narwią przewyższa je wielkością i zwartością drzewostanu.

Bory kurpiowskie są już znacznie przetrzebione, charakter puszczy został tylko w kilku miejscowościach. Dawne knieje, pełne zwierzyny, znikły, a wojna światowa zadała ostateczny cios puszczy: czwartą jej część wycięli Niemcy - okupanci na odbudowę sąsiednich Prus, zniszczonych przez wojska rosyjskie, cofające się z pod Królewca.

Krajobraz kurpiowski: lesisto-piaszczysto-bagnisty jest przeważnie smutny i dość jednostajny co do powierzchni. Lasy, łąki i wydmy, licha ziemia orna, dużo jeszcze bagien grząskich, torfowisk niewyzyskanych i piasków lotnych. Tu i ówdzie zamierające jeziora tworzą niedostępne bajory. Weselsze widoki spotykamy dopiero w pobliżu niektórych rzek — np. Omulwi lub Orzyca; piękna i malownicza jest rz. Pissa, kręta i niesforna, cała w zieleni, z jezior Śniardwy biorąca początek, a brzegi nad Narwią pod Nowogrodem imponują nam szeregiem harmonijnych wzgórz i każą podziwiać pracę lodowców.



Z bogactw naturalnych znajdują się na miejscu: ruda żelazna (limonit), torf i bursztyn w różnych odmianach, pozatem różne glinki; w wodach — zwały czarnego dębu.

Pierwotnem zatrudnieniem Kurpiów było rybołówstwo, myśliwstwo i bartnictwo, czyli pszczelnictwo, uprawiane na drzewach rosnących, przeważnie sosnach. Pozatem Kurpie wypalali drzewo na węgiel, pędzili smołę, wytapiali żelazo z rudy miejscowej, kopali i obrabiali bursztyn, wyrabiali różne przedmioty z drzewa i korzeni. Rolnictwo na Kurpiach datuje się zaledwie od stu kilkudziesięciu lat, ludność właściwie dopiero uczy się rolnictwa. Kurpianki zajmują się tkactwem, a wyroby ich słyną daleko poza puszczą. Znaczna część ludności wyemigrowała do Ameryki, puszcza bowiem ostatnio nie mogła już wyżywić swych mieszkańców.

Przeszłość i kultura dawna Kurpiów godne są poznania. Cała społeczność miejscowa dzieliła się na strzelców i bartników, rządzących się swemi ustawami. Bartnicy mieli swego starostę i sądy bartne, które odbywały się w Nowogrodzie, Ostrołęce i Broku. Strzelcy uprawiali łowiectwo, pomagali w polowaniach królom polskim, którzy tu zjeżdżali na łowy, wystawiali oddziały zbrojne, broniąc przed najazdem wroga swojej puszczy i honoru Rzeczypospolitej. W ten sposób walczyli Kurpie po rozbiorach i w czasie wszystkich walk o niepodległość. Najwięcej zaś wsławili się w walkach ze Szwedami, którym stawili czoło w r. 1708, kiedy to śpiewali:

Choć Myszyniec płonie
Od rzuconej drzazgi,
My na swym zagonie
Zbijem was na miazgi!

W r. 1733 w czasie walki o tron polski między Augustem Sasem a Leszczyńskim Kurpie pomagali Leszczyńskiemu; zginął wtedy przywódca Kurpiów, Stach Konwa, któremu postawiono pomnik w lesie pod Łomżą.

Rządy zaborcze skasowały oddziały strzelców kurpiowskich i odebrały im broń palną, a wtedy to (po r. 1816) powstała smętna piosenka:

Hej, bracia, łza łzę goni,
Serce z żalu pęka,
Już kurpik nie ma broni,
Las pod zwierzem stęka...

Mowa Kurpiów jest gwarą mazurską i posiada charakterystyczne zmiękczanie spółgłosek. Kurp nie mówi: piołun, piwo, piasek, bieda, lecz: psiołun, psiwo, psiasek, bzieda i t. p. Tę samą mowę usłyszymy u Mazurów pruskich i Warmjaków, co dowodzi, że trzy te szczepy należą do tej samej grupy ludowej polskiej i słowiańskiej.

Ubiory i stroje kurpiowskie zachowały się tylko u kobiet i to nie wszędzie. Charakterystyczne „czółko" kurpianek — obrzędowy strój głowy — znajdziemy daleko, bo aż u dziewcząt na Górnych Łużycach, u słowian połabskich.

Budownictwo kurpiowskie — piękne i staranne — różni się bardzo od chat typu południowego lub wschodniego. Szczyty i belki szczytowe dawnych chat są pięknie zdobione i wyrzynane.

Twórczość artystyczna kurpiowska jest bogata. Wyroby plecionkarskie, wycinanki i hafty kobiece, kilimy barwne, wyroby snycerskie, instrumenty muzyczne i t. p. mówią nam o zamiłowaniu i zdolnościach w tym kierunku ludu kurpiowskiego.

Oryginalna muzyka i tańce, wielkie bogactwo melodyj i śpiewów wyróżnia Kurpiów od innych grup ludowych. Na dawnych weselach kurpianki wyśpiewywały setki piosenek. Obrzędowość kurpiowska, zwyczaje doroczne i rodzinne sięgają początkiem swym zamierzchłych czasów.


NOWOGRÓD. OGÓLNY WIDOK NA MUZEUM KURPIOWSKIE

Przyrodę i kulturę Kurpiów obrazuje dobrze jedyne nad Narwią muzeum kurpiowskie P. T-wa Krajoznawczego w Nowogrodzie. Jest to typ muzeum na wolnem powietrzu, posiada szereg budynków i ogród, a na nim rozmieszczone kapliczki, barcie i t. p. eksponaty. Muzeum odwiedzają liczne wycieczki z całej Polski, brak jednak jakiegokolwiek stałego poparcia utrudnia utrzymanie i rozwój tej placówki społecznej i naukowej.

Na Kurpiach od czasu do czasu urządzane są wielkie zjazdy i uroczystości o charakterze państwowym i regjonalnym. Ostatnia uroczystość w Myszyńcu, która zgromadziła tysiące ludności ze wszystkich krańców puszczy, wykazała, iż lud kurpiowski zawsze znajdzie się gromadnie tam, gdzie idzie o sprawy wyższej wagi, o sprawy narodowe. A o sąsiadach swych i współbraciach, Mazurach pruskich, niemczonych i wynaradawianych, Kurpie zapomnieć nie mogą!

Adam Chętnik

Wśród jezior i lasów

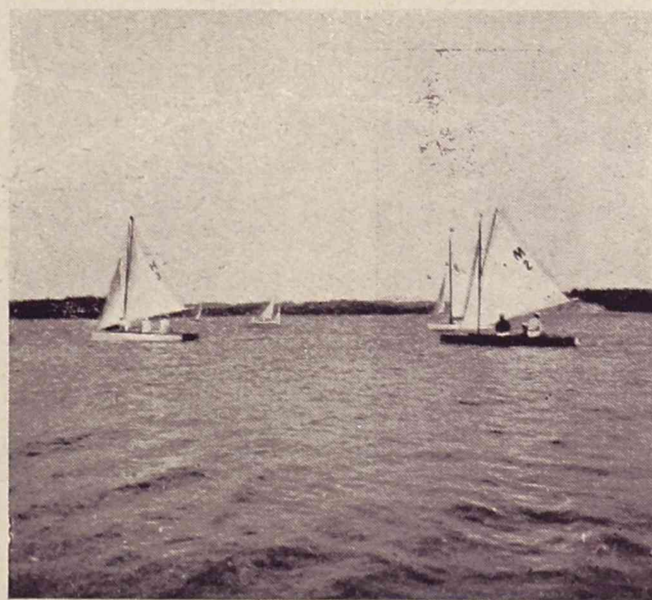
Zaledwie trzy godziny jazdy automobilem i niespełna sześć koleją via Białystok — Grodno dzieli stolicę od przepięknej krainy jezior i lasów, jakby stworzonej na wypoczynek letni i dla wycieczek turystycznych. Centralnym jej punktem jest Augustów, miasto założone przez króla Zygmunta Augusta w roku 1561.

Już zbliżając się do niego jesteśmy oczarowani malowniczem położeniem miasta nad kanałem, rzeką Nettą i jeziorem Necko. Tafle lazurowe wód obramowała przyroda w przepyszną zieleń żywicznych borów, rosnących na glebie piaszczysto-żwirowej. Pierś oddycha tu inaczej, życie wlewa się w krew, oczy rozradowane biegną od blado-zielonej toni jeziora ku strzelistym wierzchołkom sosen, świerków i modrzewi.

W piękny czas, o zachodzie słońca, zapędziliśmy się z dobrym wiatrem do jeziora Respudy i Serwskiego.

Jeziora Augustowskie połączone są kanałami, stanowiąc doskonały systemat komunikacji wodnej, w szczególności dla sportu kajakowego, który tutaj z roku na rok rozwija się coraz bardziej. Zwłaszcza młodzież szkolna i związki nauczycielskie trzymają palmę pierwszeństwa w uprawianiu tego najpiękniejszego ze sportów wodnych. Najlepszym sprawdzianem jego wzrostu jest dobrze prosperująca wytwórnia kajaków przy seminarjum nauczycielskiem, w której za 75 zł. można nabyć dwuosobowy kajak i płynąć na nim bez troski o benzynę i smary, dokąd oczy poniosą.

Do najbardziej malowniczej trasy wodnej należy marszruta do jeziora Serwskiego i z powrotem przez Studzieniczne — jezioro Białe — kanał Klonowica — jezioro Respuda do Necka, skąd rzeką Nettą i kanałem Augustowskim dojeżdżamy do Narwi, pozostawiając na uboczu kanał Bystry, jezioro Sajno (najlepsze sielawy), rzekę Sajewnicę i jezioro Królowę. Również z Augustowa kanałem i Czarną Hańczą możemy dostać się do Niemna.


REGATY ŻAGLÓWEK NA JEZIORZE NECKO

Poza jeziorami i kanałami, zbudowanemi dzięki inicjatywie i energji ministra Lubeckiego w latach 1825/26, według planów porucznika saperów inż. Jodko, Augustowskie chlubi się jeszcze bogactwem lasów. Mają one legendarną kartę w historji powstań narodowych 1831 i 1863 r.

Wspaniałe te lasy są siedliskiem jeleni, saren, słonek, bażantów, cietrzewi, nie mówiąc już o kuropatwach i kaczkach. Te w szuwarach i sitowiach mają swoje królestwo dziewicze.

Piękno bogatej przyrody, lasy i mnóstwo wód czynią z Augustowa pierwszorzędny ośrodek klimatyczny i turystyczny, to też z roku na rok przybywa tutaj coraz więcej letników i wycieczek. Zachodzi jednak potrzeba przeprowadzenia niezbędnych inwestycyj, a przedewszystkiem budowy hotelu, schroniska turystycznego, garażu samochodowego. W dotychczasowym bowiem stanie swoich urządzeń okolica Augustowa jest tylko niewyzyskanym cudem natury!

Michał Gonerko





JEZIORO BIAŁE Fot. J. Rotsztejn, Augustów JEZIORO NECKO

ODRODZONE DRUSKIENIKI

Kilka lat temu, bo do roku 1929 Druskieniki były beznadziejnie upadającem zdrojowiskiem, pozbawionem środków, opieki i wszelkich widoków na przyszłość. Lecz piękno natury i wielkie walory zdrowotne głęboko odczuł Marszałek Piłsudski, który dał wyraz swym wrażeniom wpisując do „księgi pamiątkowej" w cudną poetycką formę ujęte słowa o pracy Stwórcy Świata nad doliną Niemna i Rotniczanki.

Dzięki trosce i opiece Marszałka Piłsudskiego, Druskieniki w styczniu 1930 r. zostały uratowane od grożącej im ruiny przez Bank Gospodarstwa Krajowego, a od kwietnia 1931 r. przekazane Departamentowi Służby Zdrowia. Wykonanie swych zamierzeń Marszałek Piłsudski powierzył Dyrekcji Banku, Dyrektorowi Departamentu dr. Piestrzyńskiemu (obecnie vice-Ministrowi Pracy i Opieki Społecznej) i mec. Witoldowi Abramowiczowi, w którego rękach odtąd spoczywa administracja zdrojowiska.

W ciągu ubiegłych trzech lat Druskieniki uległy bardzo poważnym zmianom. Podstawą wartości leczniczych zdrojowiska są źródła solankowe, zwłaszcza nowe źródło mocnej solanki ujęte na głębokości 300 metrów, które stawia Druskieniki w liczbie pierwszorzędnych zdrojowisk, na równi z Ciechocinkiem i Inowrocławiem. Wysokowartościowa borowina, wydobywana na miejscu, nasycana solanka stanowi drugi poważny środek leczniczy. Solanka do picia, jak stwierdziły badania kliniczne daje zbawienne rezultaty przy leczeniu zaburzeń z powodu złej przemiany materji.

Zakład kąpielowy zaopatrzony w nowe urządzenia i aparaty lecznicze odpowiada nowoczesnym wymaganiom nauki i techniki i zawiera w sobie niezbędne środki we wszelkich dziedzinach lecznictwa.

Mamy tu kąpiele solankowe, borowinowe, kwasowęglowe, tlenowe, piankowe, sale hydropatyczne, sale elektroterapji cieplnej, świetlnej i wodnej, gabinety ginekologiczne, do zabiegów specjalnych przepłukiwania jelit, inhalatorjum ogólne, kabiny do wziewań specjalnych oraz aromatycznych i t. p.

Specyficzną właściwością zdrojowiska, wyróżniającą go z pośród innych jest zakład lecznictwa stosowania słońca, powietrza i ruchu im. dr. E. Lewickiej. Przepięknie urządzone tereny, oddzielnie dla pań i panów, zaopatrzone w potrzebne przyrządy gimnastyczne i sportowe, wzbogacone w baseny do kąpieli i pływania, stanowią chlubę Druskienik i mogą służyć wzorem dla tego rodzaju zakładów nawet zagranicą.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że przybywający do Druskienik kuracjusze znajdują bardzo poważną i troskliwą opiekę lekarską w osobach lekarzy zakładowych oraz zaproszonych przez Zarząd Zdrojowiska profesorów konsultantów w rozmaitych dziedzinach specjalności, jeżeli podkreślimy, że po za zabiegami leczniczemi kuracjusz ma do dyspozycji kąpiele kaskadowe w Rotniczance, plażę na Niemnie, czółna na Niemnie i na jeziorach, olbrzymie ciągnące się w nieskończoność lasy sosnowe, ciszę, spokój i zupełną swobodę, a pragnący zabawy i towarzystwa — kasyno, cukiernie, dancingi i bridż, — musimy przyznać, że odrodzone Druskieniki stają w szeregu pierwszorzędnych zdrojowisk w kraju, a pod względem piękna i rozmaitości widoków nie mają sobie równych.





ZAKŁAD KĄPIELOWY Fot. L. Baranowski, Druskieniki PLAŻA NAD NIEMNEM

Miasto kontrastów



PAŁAC BRANICKICH—OBECNA SIEDZIBA URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO

O Białymstoku, pięknych białostoczankach i przemysłowcach białostockich słyszy się naogół bardzo dużo, lecz pisze się jaknajmniej. Białystok nie lubił nigdy rodzimej prasy i literatury. Chętniej zaczytywał się prasą niemiecką i rosyjską.

Przed wojną gród ten żył tylko jednem hasłem: tanio produkować i drogo sprzedać! Dymiły wówczas kominy stukilkudziesięciu fabryk, zatrudniających ponad 20.000 robotników. Towary białostockie szły same, zakupywane na miejscu przez hurtowników z Wilna, Smoleńska, Kijowa, Odesy, Kiszyniowa, ba! nawet Charbin i Władywostok — były rynkiem zbytu manufaktury białostockiej. „Stare te, dobre czasy", przedwojenne, kiedy rubel rządził w Białymstoku, wywierały na psychologji miasta piętno euro-azjatyckie. Rosły więc fortuny przemysłowców i w tym sztucznym dobrobycie kwitły zabawy i pohulanki „à la Kamarinskij", a wyrazem nastrojów stała się modna wówczas knajpa-kabaret „Rozkosz", urządzona w pięknym parku Zwierzynieckim, ongiś letniej rezydencji hr. Branickich.

*

Atoli równolegle z tym oficjalnym Białymstokiem istniał przed wojną i inny Białystok! Białystok podziemny, miasto „buntowników" i „bundowców", miasto nędzy i zaniedbania, potu i łez.

*

Pokój w Wersalu i zwycięska wojna roku 1920 powróciły Białystok „na Ojczyzny łono" i od tej chwili miasto to, jak w kalejdoskopie, zmienia się z roku na rok. Pokost rosyjski szybko znikł i już po kilku latach wolności miasto odzyskuje wygląd i charakter polski. W parku Zwierzynieckim staje obelisk ku czci poległych w r. 1920 w szeregach 41 p. p. obrońców ziemi Białostockiej, a w dawnych budynkach „Rozkoszy" mieści się obecnie „Miejska Szkoła Powszechna na wolnem powietrzu".

*

Radosna metamorfoza pociągnęła jednak za sobą zmianę warunków ekonomicznych. Białystok stracił łatwe rynki zbytu na wschodzie i nie zdołał wytrzymać walki konkurencyjnej z Łodzią i Bielskiem wewnątrz kraju i na nowych drogach eksportu zagranicznego: w Rumunji, Turcji i innych krajach bliskiego Wschodu. Przyzwyczajony sprzedawać bez wysiłku, przemysł białostocki zatracił inicjatywę twórczą, zaniedbał reorganizacji i unowocześnienia produkcji, wpadając w stan apatycznej wegetacji.

*

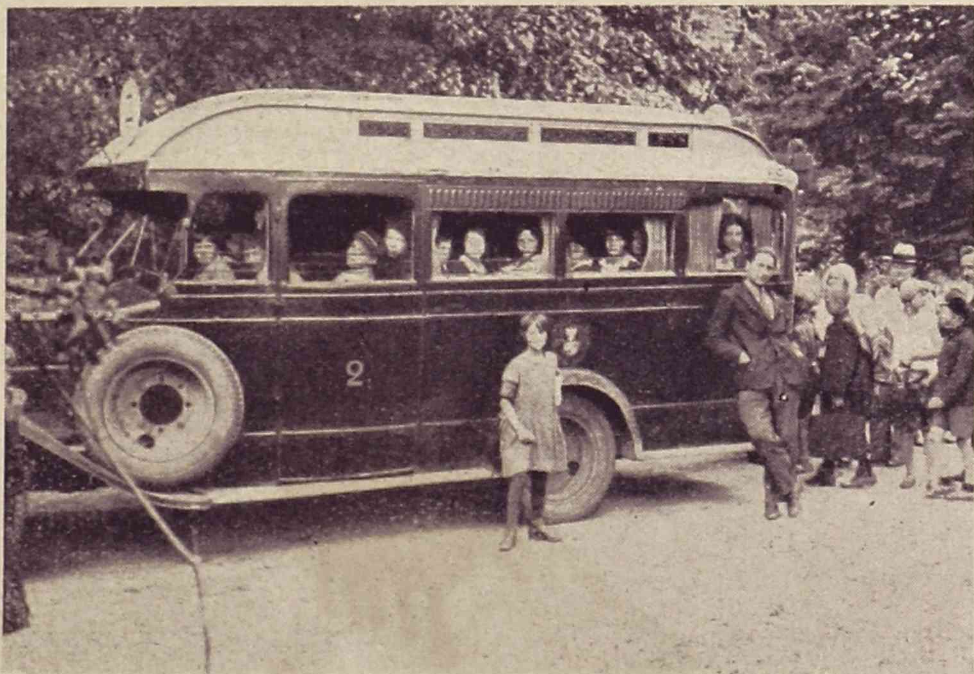
Rozwój miasta Białegostoku w takich warunkach natrafia na wielkie przeszkody. Sto tysięcy mieszkańców obciąża budżet miejski w wysokości 6 miljonów, z których 16,8% idzie na opiekę społeczną, a zaledwie 5,7% na drogi i place publiczne. To też w żadnem mieście nie spotkamy takich wilczych dołów na ulicach i chodnikach, jak w Białymstoku. Winę za ten stan rzeczy ponoszą poprzednie zarządy miejskie, które w dobrej konjunkturze inflacyjnej nie skorzystały z pożyczek i nie uregulowały ulic, a zwłaszcza nie pomyślały o budowie kanalizacji.

Białystok wszystkie intratne przedsiębiorstwa oddał w ręce koncesjonarjuszy. Elektrownię — Belgom, wodociągi — kapitałowi rosyjsko-niemieckiemu, komunikacje miejskie (autobusy) początkowo eksploatowali prywatni przedsiębiorcy, a obecnie P. Z. I. „Ursus". Miasto z przedsiębiorstw dochodowych ma tylko rzeźnię, tamowaną w rozwoju przez rozpowszechniony potajemny ubój w samym Białymstoku i okolicznych miasteczkach.

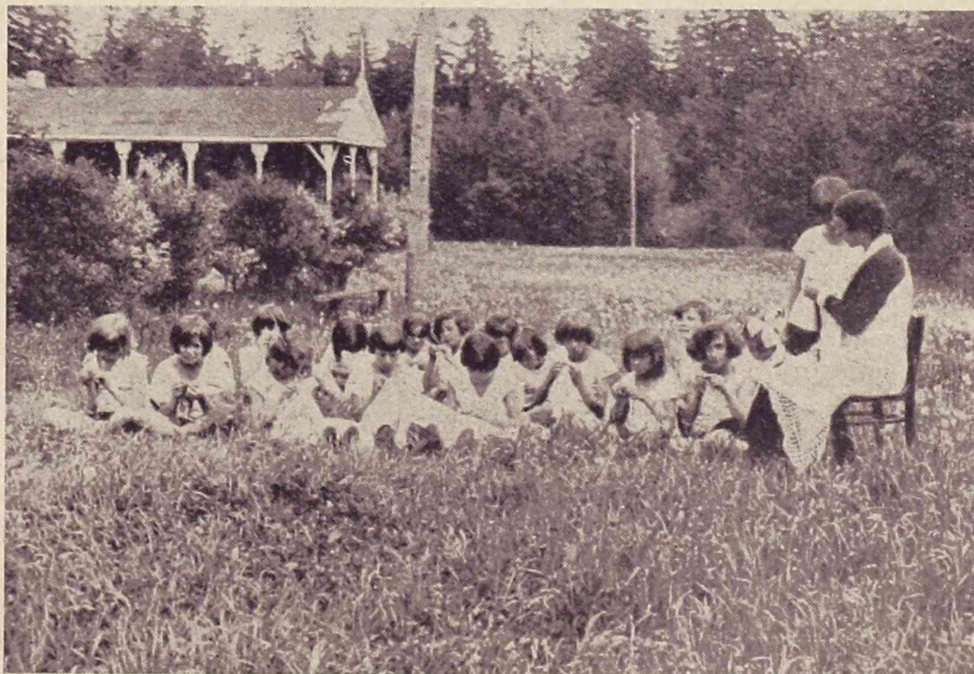
W Białymstoku razi kontrast zabytków wspaniałej architektury, jak pałac Branickich — Wersal Podlaski — z XVIII w., stary rynek z Ratuszem, piękny Park Miejski i wymieniony już Zwierzyniec, z równocześnie istniejącemi w zaułkach, a nawet na głównych ulicach brudami, które wespół z wyziewami rzeczki zwanej Białą, lecz wyglądającej czarno — zatruwają życie mieszkańcom tego wojewódzkiego grodu. Narówni z nowoczesnemi gmachami Sądu Okręgowego, Izby Skarbowej i nowej dzielnicy — kolonji urzędniczej, widzimy niezabrukowane place, ruiny cerkiewne i walące się chaty. Czas już to wszystko uregulować. Może temu zaradzi nowomianowany komisarz rządowy dr. Nowakowski.

Jest on, po rozwiązaniu rady miejskiej, ostatnią nadzieją stotysiącznego grodu.

Migo.



AUTOBUSY „URSUS" UTRZYMUJĄ KOMUNIKACJĘ W MIEŚCIE



SZKOŁA NA POWIETRZU W PARKU ZWIERZYNIECKIM

OGÓLNY WIDOK GRODNA OD STRONY NIEMNA



fot. am. S. Przanowski, Kopciówka

TRAGICZNY GRÓD

Wśród miast województwa białostockiego jedno tylko Grodno posiada długą i wielką przeszłość. Wprawdzie Łomża liczy około 900 lat, nie uczestniczyła jednak w historji ogólno-polskiej i powszechnej; Białystok pozostawał do połowy XVIII wieku wsią, a później miastem, stanowiącem własność prywatną, Suwałki narodziły się dopiero w XVIII wieku.

Grodno natomiast powstało w czasach przedhistorycznych, było punktem obronnym i handlowym w starożytności, posiada dotychczas świątynię chrześcijańską z XI wieku, a najnowsze odkrycia fundamentów Starego Zamku potwierdzają istnienie tu już w tych czasach silnej warowni.

Długie i krwawe toczyły się o Grodno walki między Litwinami a książętami halickimi i krzyżakami; przechodziło ono z rąk do rąk, wciąż niszczone i palone, póki panowanie polskie nie zapewniło mu po bitwie Grunwaldzkiej trzechsetletniego spokoju i rozwoju.

Wszyscy książęta litewscy i królowie polscy bywali tu na zjazdach, uroczystościach, postojach wojennych lub łowach, wreszcie na sejmach. Tu odbywały się gody weselne Witolda z Julijanną; tu Kazimierz Jagiellończyk przywdział koronę polską i tu ducha wyzionął; tu syn jego, święty Kazimierz, modlił się żarliwie aż do utraty zdrowia i życia; tu za Zygmunta Starego rozegrała się tragedja między wojewodą kijowskim Glińskim a wojewodą trockim Zabrzezińskim, którego uciętą głowę wrzucono do jeziora; tu też zmarł nieoczekiwanie Stefan Batory podczas przygotowywania wyprawy na Moskwę, którąby może nasze dzieje późniejsze inaczej ukształtowała.

Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku nowi niepożądani goście zaczynają nawiedzać Grodno: Moskale i Szwedzi. Zwłaszcza ci pierwsi coraz częstsze składają mu wizyty, niosąc śmierć, rabunek i pożogę, aż upatrzyli je sobie na grób Polski. Ostatni Sejm Rzeczypospolitej, wstrząsająco odmalowany mistrzowskiem piórem Reymonta, pogrzebał tu państwo polskie w 1793 roku, a w dwa lata później ostatni król polski, osadzony w Grodnie pod dozorem Repnina, podpisał tu akt abdykacji.

Zanim nastąpił ten dramat dziejowy narodu, rozegrała się jeszcze w Grodnie inna tragedja: tragedja twórczej jednostki. Genjalny Tyzenhauz, który Grodno na centrum swych wspaniałych planów gospodarczych i cywilizacyjnych upatrzył, po kilkunastu latach cudów inicjatywy i pracy o żebraczym kiju uszedł z pałacu na Horodnicy przed wierzycielami prywatnymi i fiskusem, szukając schronienia w klasztorze ojców jezuitów.

Ażeby już dopełnić liczbę nieszczęść spływających na Polskę i Polaków z tego miasta, — należy przypomnieć, że w niem zaczynali swą karjerę i do przyszłych zbrodni gotowali się Murawjew — wieszatiel z przed stu lat i Stołypin — kat z przed ćwierćwiecza.

Aż w tym grodzie ponurym i strasznym zjawia się kobieta - odkupicielka, kapłanka dobroci i piękna — Eliza Orzeszkowa. Nad Niemnem rozbiła namioty uczuć szlachetnych: sprawiedliwości, wyrozumiałości, braterstwa, tu rozpaliła święty znicz miłości ludu i ludzi.

Odtąd jakby zmazane zostało ciążące nad Grodnem przekleństwo. Jaśniejsze przychodzą dlań lata; otrząsa z siebie brud niewoli, powraca do Polski, dawny odzyskuje splendor i znaczenie.

Dzisiaj Grodno jest ośrodkiem polskiego ducha i polskiej kultury. Odbudowuje swe czcigodne pamiątki, zakłada nowe instytucje: liczne szkoły, Muzea historyczne i przyrodnicze, ogród botaniczny i zwierzyniec, bibljotekę publiczną, stały teatr; rozszerza sieć wodociągową, urządza nową elektrownię, porządkuje jezdnie i park miejski, buduje wspaniały most przez Niemen, zamiast zniszczonego podczas wojny, zyskuje kilka wielkich zakładów przemysłowych, jak fabrykę tytuniową, fabrykę dykt, hutę szklaną, tartaki, browary, garbarnie. Z chwilą zaś otwarcia spławu na Niemnie—stanie się Grodno ważnym punktem komunikacyjnym i handlowym w stosunkach z Litwą i szybko powiększy swą ludność, wynoszącą obecnie równo 50 tysięcy.

Z. Okęcki

LOS-ANGELES — MIASTO X OLIMPJADY

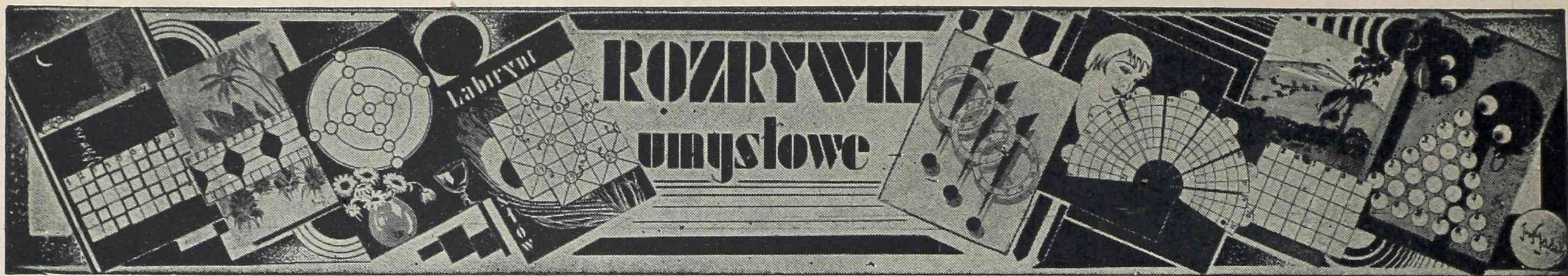
Główna ulica miasta udekorowana na powitanie zawodników z całego świata



J. Kusociński, zwycięzca obecnej Olimpjady w biegu na 10 Km.



Jedna z alei palmowych w Los-Angeles

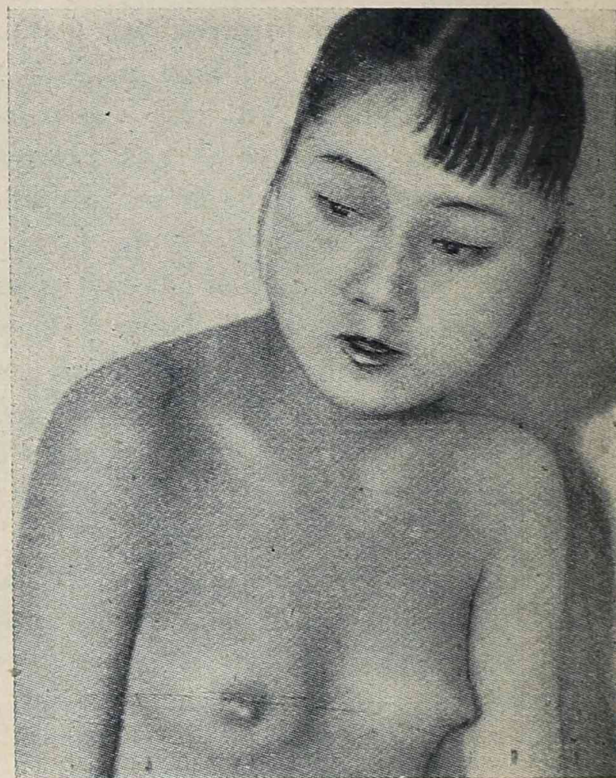


№ 54 (157) ZADANIE ILUSTRACYJNE

(Za każdą trafną odpowiedź po 1 punkcie)



URODA DZIEWCZĘCA w każdym kraju jest inna. Chodzi o to, aby odgadnąć, do jakiej rasy i narodowości należą przedstawione tu piękności. Uprzedzamy, że są wśród nich tylko dwie europejki, pozostałe zaś pochodzą z Azji i Ameryki









Za trafne rozwiązanie niniejszych zadań Redakcja „Swiata" przeznacza trzy wartościowe nagrody książkowe.

Nr. 55 (158) CZY WIECIE?

(Za każdą trafną odpowiedź 1 punkt).

1) Jak długo trwa kadencja Prezydenta Rzplitej Polskiej? 2) Co to jest „klauzula największego uprzywilejowania"? 3) Od kiedy są w użyciu znaczki pocztowe? 4) Czyjem dziełem jest jedyna w języku polskim „Księga przysłów i przypowieści"? 5) Z ilu członków składa się Rada Ligi Narodów? 6) Ile szkół akademickich posiada Polska? 7) Co to jest grotesk? 8) Kto to jest sprinter? 10) Gdzie znajduje się „Nowy Chorzów"?

N W A O	D A W E	I K R E	H C Ł R	S I E Z
I S T E	U N Y S	R I N A	Z A S Y	Ę W O D
Ł E K O	Ó Z O W	C S A H	K R O O	D N O Z
L G R B	M A W O	Ó W Ł W	M O W I	W Z C A
C R Z Z	U Ó D B	Z O M O	C N D H	Ó O S D

Nr. 56 (159) ZADANIE TAFELKOWE

(Za rozwiązanie 4 punkty)

Tafelki poprzestawiać w ten sposób, aby w rzędach poziomych i pionowych utworzyły po pięć nazw miast polskich.

Rozstrzygnięcie VI-go Konkursu Kwartalnego zamieścimy w następnym zeszycie „Świata".

(Dokończenie na 4-ej stronie okładki).

Teatry Warszawskie

Teatr Narodowy. „Bracia Castiglioni", komedja w 3-ch aktach Alberta Colantuoniego, przekład Al. Guttrego.

Niewątpliwie tylko pod gorącem włoskiem niebem i we włoskim klimacie literackim mogła się zrodzić ta niewymyślna a bardzo ucieszna „krotochwila" o czterech chciwych na grosz a próżniaczych „braciach Castiglioni"...

Słoneczne tradycje humoru Goldoniego, wdzięk prostoty uczuć i obyczajów muzy Metastasia, groteskowa jaskrawość teatru djalektalnego Neapolu, Sycylji czy Bolonji — oto zasadnicze wzory, z których obfitą a wprawną ręką czerpał autor „Braci", signor Alberto Colantuoni. Cokolwiekby można mu było zarzucić ze strony roboty literackiej czy poczucia smaku obyczajowego (wiadomo, że w naszym północnym klimacie śmiech teatralny jest o wiele wybredniejszy) — jedno trzeba przyznać utalentowanemu włoskiemu autorowi bez zastrzeżeń: że umiał dostarczyć widzowi dwie godziny po majstersku spreparowanej zabawy teatralnej.

Chwilami to już nie rasowy włoski temperament urodzonego „komedjografa" przemawiał do nas ze sceny, lecz szalała jakaś iście południowa *furia italiana*, miotając po scenie figurami, każąc im wygłaszać i odgrywać przed nami jakieś wręcz upalne *sirocco słów*, zdarzeń i sytuacji scenicznych, nie dając widzowi ani chwili czasu do zastanowienia się nad niemi i zbadania ich prawdopodobieństwa!

A przecież cała ta dość niewybredna historja teatralna o wygranym losie loteryjnym, zaszytym w kamizelkę nieboszczyka wujaszka, mimo jaskrawe nieprawdopodobieństwo szczegółów, jest w treści swojej aż nadto prawdziwa; co więcej nawet — i w tem mieści się już odrobina „głębszej wartości" krotochwili p. Colantuoniego — jest *wieczysta*... Od komedji antycznych, poprzez melodramatyczne i wodewilowe libretta epoki ojców i dziadów naszych aż do komedji filmowych czasów najnowszych snują się pokrewne tematy... Chwilami odzywają się w tej zręcznej, tradycjonalnej grotesce Alberta Colantuoniego echa literackie więcej niż Metastasia, neapolitańskiego Scarpetty czy zgoła Goldoniego; są takie momenty w tej udatnej krotochwili, gdy mamy to nieśmiałe wrażenie, że duch samego ojca Moljera wkracza na scenę!..

W tym też goldoniowsko-moljerowskim duchu pojęła tę wakacyjną nowalję Teatru Narodowego reżyserja Ludwika Solskiego, narzucając — i zupełnie słusznie — wykonawcom styl literackiej bufonady komedjowej. Świetny zespół pierwszej sceny polskiej posłusznie poddał się pałeczce mistrza Solskiego, dając naszemu widzowi pierwszorzędną zabawę, przyrządzoną zręcznie i ze smakiem z różnorodnych elementów: śmiechu, grozy komicznej i wzruszenia (nieoczekiwany happy-enowy finał komedji).

Con brio i fuoco przewodzili uciesznej wakacyjnej zabawie teatru: Józef Węgrzyn, Bogusław Samborski, W. Gawlikowski, Lindorfówna, Janecka, Rychłowski, Małkowski, sami się bawiąc i bawiąc znakomicie publiczność. Odpowiedzią były hojne brawa szczerze rozweselonej widowni. *Al B-e.*

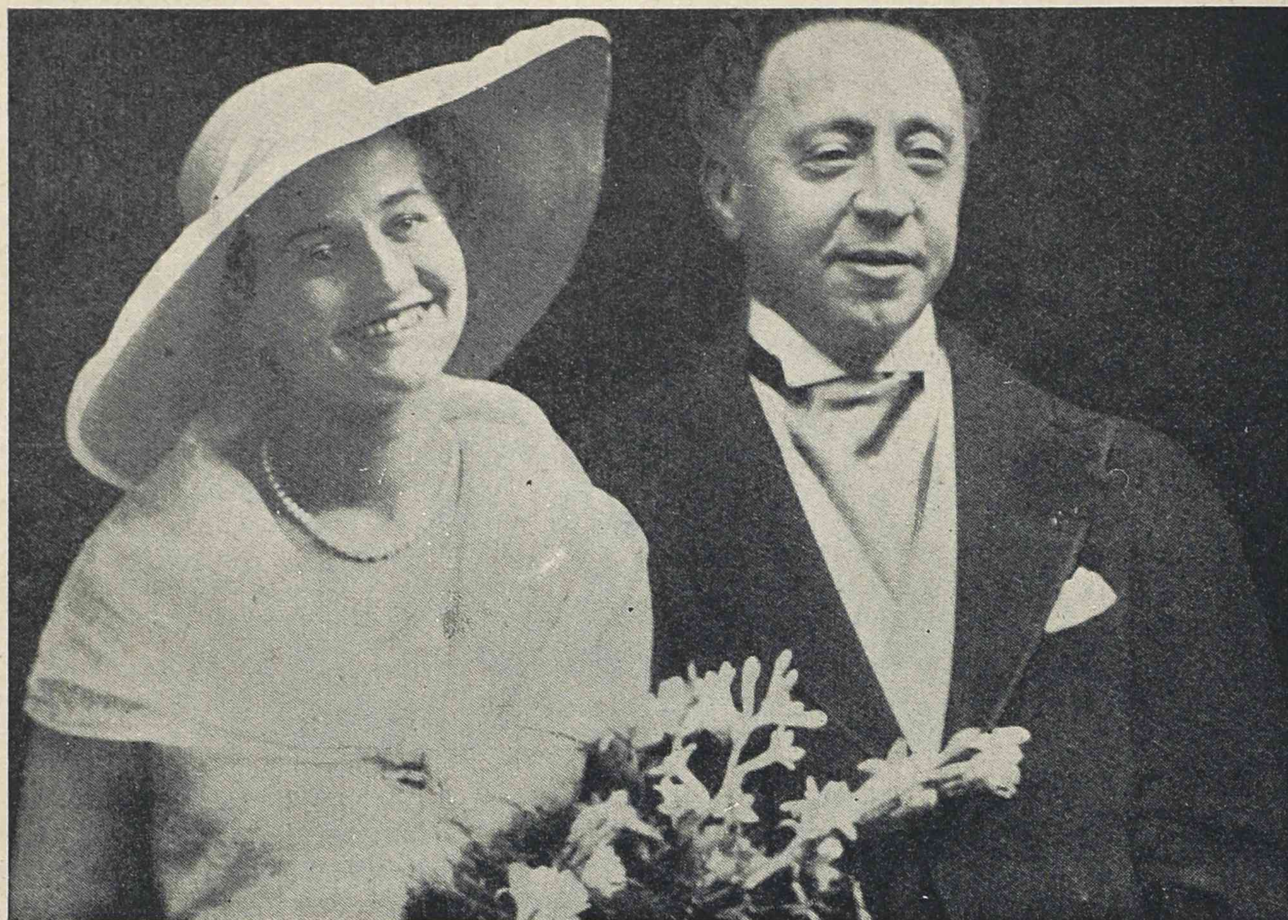


AKT I. BRACIA INDAGUJĄ „WYRODNĄ" KREWNIACZKĘ: WYKONAWCY: (SIEDZĄ) SAMBORSKI, LINDORFÓWNA, WĘGRZYN, RYCHŁOWSKI, (STOJĄ) ANKWICZÓWNA, SOLARSKI



AKT III. NOTARJUSZ ODSŁANIA TAJEMNICĘ TESTAMENTU. WYKONAWCY: (SIEDZĄ) SAMBORSKI, SOLARSKI, RYCHŁOWSKI, WĘGRZYN, JANECKA. (STOJĄ) DADZIŃSKI, ANKWICZÓWNA, GAWLIKOWSKI, ŻELISKA Fot. Jan Malarski

Małżeństwo w świecie muzycznym



W LONDYNIE ODBYŁ SIĘ ŚLUB ZNAKOMITEGO PIANISTY ARTURA RUBINSTEINA Z PANIĄ ANIELĄ MÜNTZOWĄ, CÓRKĄ EMILA MŁYNARSKIEGO

Teatr Letni. Cykl przedstawień „Gwiazd Ekranu" („Niny") dobiega kresu. Kto nie widział tej zabawnej komedyjki, zaczerpniętej ze świata kinematograficznego, winien się spieszyć. Warto zobaczyć znakomitą grę Gorczyńskiej, Junoszy-Stępowskiego, Wład. Grabowskiego.

Na repertuar Teatru Letniego wchodzi w najbliższych dniach wesoła komedja znanego węgierskiego autora, Wł. Fedora p. t. „Ruleta". Rzecz rozgrywa się w Monte-Carlo, akcja toczy się koło słynnego domu gry; a ostatni akt — w jego salonach. Główne role odtworzą pp. Lubieńska i Różańska, pp. Junosza-Stępowski, Grabowski i Wesołowski. „Ruleta" była „szlagierem" zeszłorocznego sezonu w Peszcie, Berlinie i Wiedniu. Na jesieni będzie grana w Paryżu. W Warszawie powinna wzbudzić tem większe zainteresowanie, że obecnie dużo się mówi o przeobrażeniu Otwocka, Gdyni i Zakopanego w polskie Monte-Carlo. Jaką atmosferę wytwarza publiczny dom gry — przedstawia Fodor w sposób dowcipny i barwny w swej wesołej komedji.

POWRÓT ZAKONNIKÓW



UROCZYSTE PRZEKAZANIE KLASZTORU O. O. KAPUCYNOM W ZAKROCZYMIU

Nagrody dla uczestników ankiety „Świata" o nowoczesnem małżeństwie

Z pośród obfitego plonu ankietowego, znaczna większość stała na tak wysokim poziomie, łączącym wszechstronność oświetlenia tematu z oryginalnością formy, że wybór laureatów nastręczył nielada trudności. Po długich naradach redakcja powzięła następującą decyzję:

Pierwszą nagrodę w postaci wazonu majolikowego z firmy „Ład" przyznano p. inż. Zygmuntowi Troniewskiemu z Warszawy.

Drugą nagrodę — kwartalną prenumeratę „Świata" — p. d-rowi Pawłowi Klingerowi z Łodzi.

Trzecią nagrodę — flakon perfum francuskich — p. Wandzie Rostworowskiej z Warszawy.

Czwartą nagrodę — flakon wody kolońskiej — p. inż. Szczepanowi Szafrańskiemu z maj. Bełżec.

Ponadto wyróżnione zostały odpowiedzi p. dra Stanisława Piotrowskiego z Warszawy, p. Ewy Ziemskiej z Warszawy oraz p. Stanisława Krawczyka z Dąbrowy Górniczej.

Osoby nagrodzone proszone są o zgłoszenie się do administracji „Świata" po odbiór przyznanych przedmiotów.

SALVATOR GOTTA

Dzwonek

Na odgłos każdego dzwonka umierająca wzdryga się całem ciałem, z przerażeniem otwiera oczy, usiłuje z wielkim trudem wstać, poczem, wyczerpana, opada na poduszki. Lekarz orzekł, że nie przeżyje nocy.

Słychać szepty: — „Biedna Joanna", ale nikt tu nie płacze. Ksiądz proboszcz, brat Joanny, jest stary i trochę już zdziecinniały. On jeden boleje szczerze, lecz nie potrafi zebrać rozproszonych myśli. Wszystko go odrywa i wszystko drażni: gdakanie kur w ogrodzie, dzwon na „Zdrowaś Marja", skrzypienie drzwi i głos kościelnego.

Biedak nie może usiedzieć na miejscu, jest w nieustannym ruchu: to schodzi na dół, to znów wraca, i wciąż słychać na schodach tupanie jego ciężkich butów. Wstępując do pokoju chorej, patrzy na nią przez chwilę, poczem wychodzi z głową spuszczoną, jak gdyby nagle przypomniał sobie, że coś miał do załatwienia na dole, i przystaje we drzwiach, wychodzących na ogród, wpatrzony ze zdumieniem i zarazem obojętnością w cud złotego zachodu słońca.

Prócz brata-księdza Joanna nie ma krewnych. Trzy, czy cztery dewotki z miasteczka pielęgnują ją na zmianę, lecz zdawałoby się, że podczas, kiedy odmawiają różaniec, myślą z ulgą o słowach lekarza: — „Nie przeżyje nocy".

W rzeczywistości Joanna nie ma przyjaciół, nie potrafiła ich sobie zdobyć, z racji, zapewne, egoizmu, skąpstwa i zgryźliwego usposobienia samotnej starej panny.

* * *

Kiedy brat jej, lat temu czterdzieści, został mianowany proboszczem parafji Św. Łazarza, Joanna miała lat szesnaście. Brat wymógł na niej, by opuściła rodzinną wioskę i zamieszkała wraz z nim i starą ciotką na plebanji, w charakterze służącej.

Plebanja Św. Łazarza położona jest na górze w starożytnej części miasta; wilgotne, wąskie uliczki, brukowane kociemi łbami, a w nich stuletnie sklepiki drobnych kupców, powroźników i szewców.

Domy wysokie i niskie, zniszczone, o wejściach ciemnych, jak pieczary, i obdrapanych, o porysowanych ścianach, po których wiją się kiście kaparów. Duże i małe balkony z wydętemi balustradami, pokrzywione i pochylone dachy, poprzecinane tarasami, jasno patrzącemi w niebo, lub wychodzącemi na ciemne, wilgotne podwórza.

W samem centrum dzielnicy znajduje się kościół, którego szara fasada spogląda na spuszczającą się wdół ulicę, noszącą nazwę króla Arduino; z prawej strony kościoła szerokie wrota otwierają się na korytarz, idący w górę aż do plebanji, która graniczy jednym bokiem z chórem kościelnym, a pozostałą częścią budynku wznosi się na sam szczyt wzgórza, skąd roztacza się widok na bezbrzeżny horyzont. Poniżej ogrodu i winnic, zstępujących terasami w dół, szeroka rzeka płynie u stóp miejskich fortyfikacji, rozgałęziając się wśród drobnych wysepek i gubiąc w gęstwinie lasu. Z góry widać wspaniałe wschody słońca i pełną, uśmiechniętą tarczę księżyca, wychylającą się figlarnie z poza oddalonych wzgórz. Stąd widzi się i rozpoznaje ludzi, spacerujących po wałach fortyfikacji, stąd również widać ołowiane chmury, coraz to gęstniejące w szerokich przestworzach i wyładowujące się w groźnej nawałnicy nad ponurem miastem.

* * *

Joanna nie musiała być nigdy piękną: krępa, barczysta, o rysach nieregularnych, ubierała się zwykle na modłę chłopską. Mówią jednakże, że gdy była bardzo młodą i zdrową, o ustach, jak kwiat goździka, zębach, jak perły, i ciemnych oczach — w przeciwieństwie do olśniewająco białej cery, zdawała się być uosobieniem budzącej się wiosny. Brat-ksiądz był dla niej niezmiernie surowy. Nigdy nie widywano jej poza domem, chyba tylko w kościele, klęczącą w pierwszej ławce, ubraną w prostą suknię, z głową okręconą gęstym, czarnym woalem.

Wychowana w tego rodzaju rygorze klasztornym od najwcześniejszej młodości, łagodnego usposobienia (wówczas), pobożna, zajęta cały dzień gospodarskiemi czynnościami i religijnemi praktykami, nie czuła całego ciężaru swego istnienia, nieświadoma ponęt światowych, pozbawiona przyjaciółek — nie znała uczucia zawiści. Takie przynajmniej odnosiło się wrażenie. Dla Joanny tak zwany „świat", to znaczy, ci wszyscy, którzy żyją, chodzą po ulicach i zamieszkują w miastach i wioskach, koncentrował się w jedynym, srebrnym dźwięku. Dźwiękiem tym rozbrzmiewał sprężynowy dzwonek, umieszczony u sufitu wielkiej sali na dole i połączony żelaznym drutem z wejściowemi drzwiami plebanji.

„Den den... den-den...

— Dzwonią!

Jako młodziutka dziewczyna, zawsze pierwsza przybiegała, by otworzyć drzwi. Jeżeli się czasem zdarzyło, że ktoś ją wyprzedził, czy to ciotka, czy brat, nie omieszkała nigdy zapytać:

— Kto to? Kto przyszedł?

— A cóż cię to obchodzi? Ciekawość jest grzechem.

Stale grzeszyła w ten sposób, codziennie, kilka razy dziennie, na każdy odgłos dzwonka. Nie mogła się z tego wyleczyć: był to jakby niczem niezwyciężony instynkt, pchający ją, by się dowiedzieć, kto z wielkiego, zewnętrznego świata wchodził w jej mały światek, wypełniony drobnemi zainteresowaniami.

„Den-den-den-den"...

Srebrny dźwięk dzwonka budził w niej dziwne podniecenie, jakąś niesamowitą żądzę ruchu, potrzebę otworzenia i dowiedzenia się:

— Kto tam? Kto przyszedł?

Lecz zaledwie nasyciła swą chorobliwą ciekawość, uspakajała się natychmiast, mimo że na dnie jej duszy pozostawało uczucie lekkiego rozczarowania.

Ludzie, którzy dzwonili do probostwa, byli prawie zawsze ci sami: księża z miasta, dewotki, lub biedni z okolicy. Niektóre dzwonki nawet rozpoznawała... Gwałtowne szarpnięcie: piekarz; dwa słabe, nieśmiałe pociągnięcia: ksiądz wikary; trzy, lub cztery szarpnięcia łańcuszka: kościelny; długie, równe brzmienie: listonosz.

Pewnego sierpniowego popołudnia — tego dnia było tak gorąco, że kilkakrotnie zmuszona była zanurzać obnażone ręce w basenie ogrodowej fontanny — usłyszała nagle Joanna niezwykle gwałtowne pociągnięcie dzwonka.

Wzdrygnęła się i przez chwilę stała niezdecydowana.

— Cóż to za sposób dzwonienia! I któż to może być o tej porze, w taki upał?

Ciotka Tekla i proboszcz odprawiali swą zwykłą drzemkę w pokojach na pierwszem piętrze. Joanna poszła do drzwi, otworzyła i ujrzała przed sobą nieznajomego, wysokiego, szczupłego, o silnych ramionach młodzieńca, który dźwięcznym głosem, z całą swobodą rzekł:

— Dzień dobry, pani. Czy proboszcz w domu? Potrzebny mi jest akt urodzenia. Czy mogę zostawić rower na dworze. Czy niema obawy, że mi go ukradną? Przybywam zdaleka. Jak pani widzi, niezbyt przyzwoicie wyglądam: zakurzony, spocony. Cóż za upał! Jednakże byłem zmuszony odbyć tę drogę, ponieważ ten akt urodzenia — nie mój, a ojca mojego, ja bowiem urodziłem się już po sześćdziesiątym szóstym — (tu roześmiał się, ukazując szerokie usta, ozdobione wspaniałemi

zębami) — potrzebny mi jest koniecznie na dzisiaj. Czy mogę wejść? Więc jego wielebność śpi? Niech pani mu nie przeszkadza, zaczekam tu, jeżeli mi pani pozwoli. W ten sposób odpocznę trochę.

Wszedł do poczekalni, obejrzał się wkoło, usiadł w cieniu na kanapie i zaczął obserwować dziewczynę od stóp do głów, uśmiechając się jednocześnie w dziwnie śmiały sposób.

Joanna, ogarnięta tem niezwykłem spojrzeniem, miała wrażenie, że ktoś chwyta ją za gardło: zasłoniła ręce, wstydząc się ich nagości, lecz bardziej jeszcze wprawiał ją w kłopot lekki fartuszek, okrywający jej kształty.

— Czy pani jest krewną proboszcza?

— Jestem jego siostrą.

— Ach! Niechże pani pozwoli sobie powiedzieć, że jest bardzo piękną! A może pani nie wie, że jest tak piękną? O, pani dobrze wie i tylko udaje, że jest tem zawstydzona. Jakże się pani nazywa?

— Joanna...

— Joanna! Ależ proszę się tak nie bać! Niechże pani posłucha, Joanno... Proszę mi pokazać oczy... Niechże pani na mnie spojrzy! Jaka kochana! Istny kwiat!

Zrozumiał jej zmięszanie, odczuł intuicyjnie, że dziewczyna nie będzie w stanie się oprzeć, tak była wzruszona i podniecona niezwykłą chwilą.

W rzeczywistości nie usiłowała nawet cofnąć się na krok, aby uciec przed powoli zbliżającym się nieznajomym, który, uporczywie w nią wpatrzony, przykuwał do siebie jasnemi błyszczącemi oczami.

Jednem ramieniem objął ją wpół, drugą zaś ręką odwrócił ku sobie jej twarz, chciwie szukając ust i wyciskając na nich długi, namiętny pocałunek. Nagle oderwał się, usłyszawszy w głębi kurytarza trzaśnięcie drzwi.

— Twój brat! Cicho! Uspokój się! Jutro, lub pojutrze wrócę: o tej samej godzinie. Przyjdź mi otworzyć. Szalenie mi się podobasz! Teraz odejdź, idź do ogrodu! Prędzej!

Uciekła i ukryła się w altanie w głębi ogrodu, gdzie usiadła na jakiejś belce, przyciskając rękami tętniące skronie, jak oszalała.

Przeszło godzinę nie mogła wrócić do równowagi, pozostając w stanie oszołomienia i fizycznego wyczerpania, które wstrząsnęło całą jej istotą. Pod wieczór miała nawet lekką gorączkę. Wcześnie położyła się spać, jednak usnąć nie mogła, dręczona naprzemian wyrzutami sumienia, uczuciem wstydu i żądzy; zdawało jej się, że leży na rozżarzonych węglach.

Lecz w domu nic nie zauważono, nikt nie domyślił się prawdy. I nigdy się o niej nie dowiedziano. Nazajutrz, pożerana niecierpliwością, wyczekiwała popołudniowej godziny, lecz dzwonek nie odezwał się. Z tym samym niepokojem czekała następnego dnia, i wiele innych dni... W tym czasie dzwonek często dawał znać o sobie; za każdym dźwiękiem wzdrygała się całem ciałem i biegła otworzyć. Lecz nieznajomy nie powrócił już nigdy.

Przechodziły dnie, miesiące i lata jej bezbarwnego życia, a wspomnienie jedynej chwili miłości zacierało się stopniowo w pamięci Joanny. Czasem tylko myślała o niej, podobnie, jak się wspomina senne widziadło.

W końcu, starzejąc się w panieńskim stanie, zupełnie o niej zapomniała. Już straciła wszystkie zęby, przebyła chorobę oczu, zgorzkniała, zdziwaczała, stała się skąpą i złą, dzieląc swój czas pomiędzy kościołem a domem.

Lecz teraz — na progu śmierci — za każdem szarpnięciem dzwonka na dole u wejściowych drzwi probostwa dreszcz wstrząsa jej ciałem, otwiera z przerażeniem oczy, usiłuje się podnieść, jakgdyby chciała pójść otworzyć.

„Den-den-den-den"...

— Cóż to za sposób dzwonienia! I któż to może być o tej porze?

Tłomaczyła z włoskiego

Stefanja Peltynowa

CO CZYTAĆ?

„ZE WSPOMNIEŃ O MICHALE STASZEWSKIM", „NA SZLAKU CHUDEGO WILKA", „O JANIE ZAHRADNIKU".

Michał Staszewski, żołnierz 1830 roku, znany i wybitny fechtmistrz, był w swoim czasie interesującą postacią na tle Krakowa z przed lat trzydziestu. Zmarł, mając z górą lat 90; był żywą kroniką wydarzeń. Rodzina Staszewskich w Krakowie, a zresztą i w innych miastach polskich, cieszyła się dużą estymą. Wśród wielu zasłużonych dla ojczyzny wydała Michała Staszewskiego, typ przedziwnie sarmacki, urodziwy, pełen fantazji do ostatnich dni żywota.

Przypomina go obecnie naszemu społeczeństwu p. Józef Staszewski, dodając rozprawkę ś. p. Michała o szermierce. Warto jest przeczytać ten „żywot poczciwego polaka", co spędził wiele lat na służbie ojczyźnie. Michał Staszewski jest dla nas interesujący i z tego względu, iż był mistrzem korda. Jako szermierz, był żywą tradycją świetnej polskiej szkoły pałasza.

Józef Staszewski, przypominając tę postać naszemu społeczeństwu, utrwalił kilka charakterystycznych rysów psychologicznych dawnego pokolenia, walczącego przez cały wiek XIX z obcą przemocą. Książka jego o ś. p. Michale może zaciekawić i szersze koła czytelnicze, choć niewątpliwie napisał ją autor w celach rodzinnych.

Z wspomnień powstała i książka p. Henryka Glassa p. t. „Na szlaku Chudego Wilka". Autor w organizacjach harcerskich naszej młodzieży wyróżnił się intensywnością pracy społecznej oraz ideowej. Jako harcerz przeszedł przez tragiczne chwile przełomu bolszewickiego, służąc pod sztandarami gen. Dowbor-Muśnickiego. Studjował w rosyjskiej szkole artylerji; wojnę polsko-bolszewicką przebył na froncie jako wywiadowca. Przygody p. Henryka Glassa, jako harcerza, zawierają wiele ciekawego materjału obyczajowego oraz ideowego. Książkę tę poprzedził wstępem gen. Józef Haller. Napisał o „wspomnieniach Chudego Wilka".

„Każdy harcerz, czytając te kartki, może być dumny, że i on do tych bohaterskich szeregów zaliczyć się może, do tej młodzieży czystej, jasnej i promiennej w swojej prostocie i szczerości, a rozumnej, znajdującej zawsze najlepsze i najgodniejsze wyjście z każdej sytuacji, jaka się w życiu nadarzyć może, choćby ona wydawała się beznadziejną".

Należy przypuszczać, iż „Na szlaku Chudego Wilka" dostanie się do rąk naszej młodzieży. Ludzie starsi książkę tę czytać będą z pewnym krytycyzmem. Autor bowiem jest człowiekiem konkretnych nastawień duchowych, aczkolwiek wyrosłych z ruchu harcerskiego, to jednak niepokrywających się z ideami czystego skautingu.

O Janie Zahradniku, przedwcześnie zmarłym poecie lwowskim, napisał studjum literackie p. Mieczysław Piszczkowski, autor ciekawej rozprawy o Józefie Weyssenhoffie. Studjum to poprzedził wstępem prof. Ignacy Chrzanowski, wysoko podnosząc wartość zbioru liryków Jana Zahradnika pt. „Ludziom smutnym".

Książka p. Mieczysława Piszczkowskiego daje wszechstronny przegląd dorobku literackiego zmarłego poety, nie szczędząc uwag pod adresem warszawskiego koła skamandrowego, które uczyniło wszystko, by przemilczeć i unicestwić twórczość ś. p. Jana Zahradnika. Pisarz ten uprawiał z powodzeniem i krytykę. Przed kilku laty ogłosił drukiem feljetony o Boy'u-Żeleńskim oraz Makuszyńskim. Cieszyły się one poczytnością wśród najmłodszej generacji. Zmarł w r. 1929 po ośmioletnej zaledwie działalności i to w warunkach jaknajbardziej trudnych. Współpracował w „Słowie polskiem" we Lwowie, rozmieniając się na drobne, dorywcze artykuły. Pisywał i niewybredne okolicznościowe wierszyki. P. Piszczkowski o twórczości tej powie: „naogół cała ta produkcja wierszopiska jest licha, niedbała, często nietaktowna". Rehabilitacją Jana Zahradnika jego przednia liryka oraz feljetony literackie.

Studjum p. Mieczysława Piszczkowskiego zasługuje na uwagę!

E. C.

Katastrofa kolejowa w Subkowach pod Tczewem



Na świeżym nasypie wykoleił się dodatkowy pociąg pospieszny, zdążający ze Lwowa do Gdyni na „Święto Morza". Wiele osób odniosło rany. Obok wykolejonych wagonów stoi pociąg ratowniczy

Wobec ogólnego obniżenia prenumeraty „Świata", redakcja nie jest w stanie udzielać dotychczasowej wysokości rabatów, przyznawanych niektórym stowarzyszeniom i zawodom. Jeśli jednak obecnie obniżona opłata jest wyższa od dawnej zniżonej, pozostaje poprzednia kwota ulgowa dla wszystkich dawnych abonentów

SENSACJA TOWARZYSKA W KRYNICY

Nasz korespondent donosi nam, że w dniu 23 lipca r. b. świat towarzyski w Krynicy przeżył pierwszorzędną sensację.

Tym emocjonującym wydarzeniem była Wielka Rewja Modeli Futrzanych na rok 1932/1933 ze znanej firmy „Julja Ujejska" w Warszawie, Nowy Świat 29. Rewja ta, połączona z dancingiem towarzyskim i uzupełniona wielce pomysłowymi atrakcjami odbyła się w najbardziej luksusowym hotelu krynickim—Lwi-Gród—i cieszyła się tak nadzwyczajnym powodzeniem, że prawie połowa gości musiała odejść od zamkniętych kas bez biletów, gdyż wielkie salony Lwi-Grodu nie zdołały pomieścić ciekawych.

Co było tym magnesem, który ściągnął tylu gości na Rewję? — W pierwszym rzędzie szlachetny cel (dochód przeznaczono na ochronkę w Krynicy-zdroju), następnie urocza konferansierka p. Marja Balcerkiewiczówna, no i przedewszystkiem arcydzieła mody futrzanej z firmy Julja Ulejska. Tyle modeli (około 30-tu) tak po mistrzowsku wykonanych, rzadko można oglądać. Te przepiękne breitszwance z lisami srebrnymi, karakuły modelowe z sobolowymi tumakami, łapki breitszwancowe, źrebaki, popielice we wszystkich kolorach — to były naprawdę arcydzieła, a przytem zupełnie niedrogie.

Podobno całą prawie tę piękną kolekcję modeli futrzanych można oglądać w Warszawie u p. Julji Ujejskiej, Nowy Świat 29. Naszym Szanownym Czytelniczkom radzimy jaknajprędzej te piękne rzeczy obejrzeć.

Organizatorom Rewji wyrażamy słowa szczerego uznania za ich pracę.

J. W.

Szlakiem dziesiątej muzy

ANKIETA
WŚRÓD „GWIAZD" FILMOWYCH

Amerykańskie pismo filmowe przeprowadziło ankietę wśród artystów filmowych Hollywood.

Odpowiedzi, jakie nadeszły, dają obfity i ciekawy materjał.

Okazuje się, że cztery „gwiazdy" miały już od wczesnego dzieciństwa pociąg do sceny, a mianowicie: Nancy Carroll, Sylvia Sidney, Tallulah Bankhead, Claudette Colbert.

Pozatem naogół aktorzy mieli zupełnie inne zamiary i plany życiowe. Mieli oni — zgodnie z życzeniami rodziców — zostać „przyzwoitymi" obywatelami.

Tymczasem stało się inaczej. Wielu artystów zmieniało kilkakrotnie zawód, zanim trafiło na drogę filmu.

I tak np. Maurice Chevalier, bohater najnowszej komedji Mamouliana, zaczął od malowania lalek, Marlena Dietrich miała zostać skrzypaczką, a bohater filmów „podziemnych", George Bancroft, zostałby marynarzem.

JAK SZMINKUJĄ SIĘ AKTORZY?

Podczas, gdy aktorki filmowe noszą swe kosmetyki w eleganckich neseserach, aktorzy byle jak i byle gdzie przechowują swoje szminki.

Tak naprzykład William Haines przechowuje szminki w małem pudełku po cygarach, a puszek do pudru i parę ołówków ma zawsze w kieszeni.

Wallace Beery bardzo rzadko przynosi z sobą szminki. Nie znosi ich i używa tylko wtedy, gdy to się nie daje uniknąć. Wtedy zaś przynosi je zazwyczaj w pierwszej lepszej kopercie od listu.

Buster Keaton ma maleńką walizeczkę, która mu służy do różnych celów, to też gdy otwiera ją, nigdy nie wiadomo, czy wyjmie z niej skromny lunch, czy też puder i krem.

John Gilbert, znany elegant, zdradza to nawet w drobiazgach. Jego przybory do szminkowania znajdują się w eleganckim neseserku, który John umocowuje na statywie fotograficznym i gdziekolwiek stoi, może się uszminkować bez trudu i wygodnie.

Lewis Stone szminkuje się bardzo mało, to też do jego potrzeb wystarcza mu futerał od pistoletu, który pozostał mu z czasów, gdy Stone był oficerem amerykańskim.

Wreszcie najmłodszy z aktorów, sławny już dziś ośmioletni bohater głośnego filmu Metro-Goldwyn-Mayer pt. „Czemp", wcale nie nosi z sobą szminek. Znajdują się one w ręcznej torebce jego mamusi.

Z dziedziny kosmetyki

P. Józefie w K. Dla utrzymania czystej cery, radzę stosować płyn *Mimoza* i codziennie zmyć twarz kawałeczkiem waty, zmoczonym w tym płynie, a następnie lekko przypudrować *pudrem Abarid.* Tłustych kremów nie używać. Najlepiej lekko wetrzeć na noc odrobinę *kremu Abarid* i przypudrować tymże pudrem. Rano zmyć twarz ciepłą wodą i *otrąbkami Abarid,* a wśród dnia odświeżać twarz *płynem Mimoza.* Ręczę, że stosując te środki, będzie pani miała zawsze czystą, świeżą cerę, o młodzieńczym wyglądzie.

P. Zofji. Włosy samej najlepiej sobie przyciemnić farbą *Jima.* Jest zupełnie pewna, niekłopotliwa w użyciu, nie daje różnych odcieni i rudych pasów. Cała rzecz, aby ściśle zastosować się do przepisu i doskonale odtłuścić włosy. Z szampionów radzę pani doskonały w użyciu *Szampion Szachrazada;* który nie niszczy włosów a doskonale je odtłuszcza. *Farbę Jima* sprzedają wszystkie większe składy apteczne i perfumerje.

P. Kaźmierzowi. Do przyciemnienia wąsów i brody polecam panu *farbę Jima* w kolorze Chatain. Jest pewna w użyciu, nie daje kolorowych odcieni i nie niszczy włosów.

Kalinie. Talk perfumowany tualetowy krajowy w najlepszym gatunku dostanie pani w perfumerji Perfection. Dobrocią i silnym zapachem nie ustępuje zagranicznym, a jest znacznie tańszy.

M-me Ercedés

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Druk. Galewski i Dau, Warszawa







HUMOR

Rzeźnikiewicz jedzie do Wilna. Ponieważ waży przeszło 200 kg., posyła czeladnika po 2 miejscówki. — Chłopak wraca:

— Kupiłeś dobre miejsca?

— Świetne, panie majster! Obydwa przy oknie!

*

Nasze dzieci.

— Mamusiu! jak osa siądzie na pokrzywie, kto kogo prędzej ukłuje?

*

— Powiedz mi, mały, w jaki sposób dostanę się stąd na stację?

— Niech pan pędzi co sił!

*

W prowincjonalnym teatrze:

— Graliście więc na wolnem powietrzu, mimo deszczu?

— Tak, scena jest chroniona przez drzewa.

— No a publiczność?

— Publiczności pożyczyliśmy parasoli!

*

— Nie wiem, co robić z moim chłopcem, stale mija się z prawdą!

— Niech go pan odda do P. I. M.-a.

*

— Radziłeś się dwu adwokatów, czy są zgodni?

— Zupełnie!

— Co ci powiedzieli?

— Zażądali obaj po 50 zł. zaliczki.

*

U lekarza.

— Z pańskiem cierpieniem jelit może pan ze sto lat pożyć. Coś jednak poradzimy przeciwko temu.

— Nie chcę, panie doktorze, chętnie pożyję te sto lat.

*

W koszarach.

— W jakim wypadku ma żołnierz prawo do pogrzebu wojskowego?

— W wypadku śmierci, panie kapral!

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 25
DO TEATRU NARODOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

ważny od 5 do 11 sierpnia r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer.

50%

Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

(Dokończenie ze str. 18)

Rozwiązanie zadań z Nr. 28-go

№ 46 (149). KRZYŻÓWKA — GWIAZDA: Renan, Psota, Atala, Malta, Pegaz, Uwaga, Odwet, Erdal, Dinar, Plama, Etole, Krems, Peset, Skole, Arena, Epoka, Akron, Kasza, Amant, Trakt; Radek, Elita, Apasz, Nerka, Papla, Szlem, Tuman, Trawa, Agent, Tatar, Lolek, Adept, Mekka, Karta, Tempo, Arsen.

№ 47 (150) TRZYLITERÓWKA: San, Ola, Sto, Udo, Alt, Leo, Ara, Mat; Sum, Alt, Tan, Oda, Ala, Sol, Oto, Era.

pp. Albowicz Jerzy (8), Birnbaum Jerzy (8), Boguszewska Irena (8), Burkat Karol (8), Byszewski Edward (8), Ceglińska Zofja (8), Dębowska Adolfa (3), Herbstmanówna Dorota (8), Klimczak Roman (8), Kowalska Jawna (8), Kozłowski Czesław (8), Kozłowski N. Kazimierz (8), Kretkowski Teodor (8), Łopatto Jerzy (8), Mikowska Stanisława (8), Oborski Karol (8), Puchowicz Kazimierz (8), Radwan Władysław (8), Rzeczkowski Aleksander (8), Silczyński Władysław (8), Sławnicki Michał (8), Słowikowska Dorota (8), Tietz Zygmunt (8), Uklański Marjan (8), Wiśniewska Teofila (8), Wyczółkowski Maciej (8), Wykrętowicz — Rządca Wacława (8), Wesołowska Wacława (3), Zagajewski Adam (3), Żukowska Irena (8) — z *Warszawy* oraz

pp. Adamska Marja (8) — z Tomaszowa Maz., Aleksandrowicz Jan (8) — ze Lwowa, Bernatowicz Zygmunt (8)—z Milanówka, Borkowska Zofja (3) — z Kutna, Bugajska Marja (8) — z Kłobucka, Choromański Józef (8) — z Tarnopola, Cywińska Stefanja (8) — z Łomży, Dobiecka Gabrjela (8) — z Łopuszna, Domański Roman (8) — z Płocka, Dorszewski Rudolf (8) — ze Świecia, Faliński Konrad (8)—z Końskich, Głaziński Aleksander (8) — z Mińska Maz., Grodziński Józef (8) — z Brześcia n/Bugiem, Horzelski Wincenty (3) — ze Stanisławowa, Iwańczykowa Marja (8) — z maj. Siernicze Wielkie, Izdebski Ryszard (8) — z Sandomierza, Janicka Zofja (3) — z Grudziądza, Jasiński Wacław (8) — z Horochowa, Jurkiewicz Eugenjusz (8) — z Wilna, Kamiński Władysław (3) — z Sochaczewa, Kolisko Mieczysław (8) z Brześcia n/B., Koziński Michał (3) — ze Skierniewic, Krauze Józef (8) — z Żyrardowa, Krasucka Zofja (8) — z Zawiercia, Krupińska Aniela (8) — z Łodzi, Kunicki Ignacy (3) — z Lublina, inż. Krudysz Jan (8) — z Cieszyna, Malinowski Stefan (8) — ze Lwowa, Maliszewski Kazimierz (8) — ze Strzemieszyc, inż. Modrzejewski Józef (8) — z Lublina, Morawski Janusz (3) — z Bielska, Orzechowska Wanda (3) — z Otwocka, Pieracki Zygmunt (8)— z Wilna, Przypkowski Wacław (8) — z Kobyłki, Radomski Michał (8) — z Łodzi, Rozental D. (8) — z Łodzi, Sawicka Karolina (3) — z Białegostoku, Sołecki Michał (8) — z Wołomina, Szeliga Barbara (8) — z Siedlec, Solka Wacław (8) — z Lubaczowa, Tarnowski Władysław (8) — z Grodziska, Tobias Henryk (3) — z Kielc, „Tolek z Królewszczyzny" (8), Tyblewski Wacław (8) — z Poznania, Wójcik Tadeusz (8) — z Wieliczki, Wysocka Ludwika (8) — z Dubna, Zabłocki Gabrjel (8) — z Łucka, Zaleski Czesław (8) — z Kalisza, Zawadzka Anna (3) — z Ciechanowa, Zakrzewski Leon (8) — z Radomia, Zelcer Adam (8) — ze Lwowa.

NAGRODY KSIĄŻKOWE przypadły w udziale:

p. *Wacławowi Solce* z Lubaczowa i

p. *Zofji Borkowskiej* z Kutna.

UZUPEŁNIENIA. Po za wymienionymi, trafne rozwiązania w terminie nadesłali: z № 24 i 26 p. Stefanja Cywińska z Łomży (18 punktów), z № 27-go: p. Michał Sławnicki z Warszawy (10) i „Tolek z Królewszczyzny" (6).

Rozrywki umysłowe „ŚWIATA".

dostępne dla wszystkich Czytelników, mają podwójny charakter: 1) współzawodnictwa przy rozwiązywaniu poszczególnych zadań i 2) turnieju wytrwałości.

Za trafne rozwiązanie każdego zadania zalicza się odpowiednią ilość punktów i rozlosowuje jedną nagrodę.

Zdobywcy największej liczby punktów w ciągu kwartału otrzymują pięć wartościowych nagród, nadto wśród Czytelników, którzy nadeślą trafne rozwiązania przynajmniej jednego zadania z każdego numeru w ciągu kwartału, rozlosowuje się pięć nagród pocieszenia.

Ogółem redakcja „Świata" przeznaczyła w bieżącym kwartale około piędziesięciu wartościowych nagród.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie 14-o dniowym od daty każdego zeszytu pod adresem: Redakcja tygod. „ wiat" Warszawa, Szpitalna 12, Dział Rozrywek Umysłowych.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa